



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 10, 20 I 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁĄŻEWSKI*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie (9 tomów).		4 zł. 70 gr.
Półrocznie (18 „).		9 „ 40 „
Rocznie (36 „).		18 „ 50 „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedynczego 80 gr.

ROK	II
TOM	XXXIX

JULJAN KRZEWIŃSKI

Z DZIEJÓW TĘSKNOTY

POWIEŚĆ



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

6

LPI 4d

443479

I



k-77/1097
27.1. 21-



P R Z E D M O W A.

Nie do pojęcia prawie jest przedział, jaki panuje między naszym światem wewnętrznym i psychologicznym a światem dziecięcym. A przecież wszyscy byliśmy dziećmi i przeżywaliliśmy ten okres tajemniczej odrębności. Ale jest tak zupełnie, jak gdyby po wyjściu z tego okresu zapadały za nami ciężkie podwoje, odgradzające dwa światy. I przestajemy rozumieć tę całą delikatną i złożoną dziecięcą indywidualność, brutalnemi nakazami lub zakazami rozrywamy pajęczne tkanki czarownej ułudy i fantazji, którą osnuwa się wewnętrzny żywot dziecinny. Wywołujemy istne tragiczne przeżycia, a u natur bardziej indywidualnych — bunt y bolesne. Nie pamiętamy już o tem, że radości i rozpacz dziecinne dorównywu ją intensywnością, a nieraz przewyższają nasze przeżycia ludzi dojrzałych. Lekceważymy je, nadużywamy swej przewagi i władzy i naginamy do swych pojęć te samorodne, a tak często czarujące, indywidualności, zamiast starać się je zrozumieć i odczuć.

Aby pisać o dzieciach, trzeba wnikliwej i subtelnej obserwacji, wobec tego, że pamięć o własnych przeżyciach z tego okresu zatracamy tak łatwo. Ślicznie o dzieciach pisać umiała

Rogoszówna, a w literaturze obcej istne arcydzieła w tym rodzaju dał André Lichtenberger, przenikając nawet z zadziwiającą intuicją do ciemnych światów niemowlęctwa. Julian Krzewiński daje nam śliczną książkę w tym rodzaju, przepojoną tem delikatnem i ciepłem uczuciem, z jakim tematy podobne traktować należy. Stosunek dzielnego plebejusza Marka do wytwornej latorośli książęcego rodu Hali, jego pomysłowość i przedsiębiorczość małego dzielnego mężczyzny i jej podziwupełne poddanie kobiecie, są istnym psychologicznym majstersztykiem. Groźna postać dziadunia uosabia doskonale despotyczną, a tak często ślepą władzę starszych, która nakształt orkanu burzy wątle i złudne światy dziecięcego szczęścia. Aż dziw bierze, że znany ze swych kreacji komicznych na scenie — autor, tyle umiał wlać subtelności uczuć, tęsknych nastrojów, serdecznej poezji w kreacje swe powieściowe. Niezglębione są bogactwa artystycznych natur. Niespodzianką twórczą jest także pewien mistycyzm, zamiłowanie do zagadnień okultystycznych, przebijający w drugiej części powieści. Zagadnienia te nie przesłaniają zajmować umysłów nieprzeciętnych i niemal każdy ma własny sposób komentowania ich. Niezglębiona to kopalnia pomysłów artystycznych i twórczych.

REDAKCJA.

I.

Na stoku góry stał dom, przypominający swym kształtem i rozkładem izb zwyczajny czworak. Jedno wejście od strony zabudowań dworskich osłaniał mały ganeczek o białych, okrągłych słupkach, drugie zaś z przeciwnej strony wychodziło na mały ogródek o wąskich ścieżkach, tak wąskich, że zaledwie jedna osoba mogła po nich swobodnie stąpać. Prawdopodobnie oszczędnością gruntu kierowała się ręka, zakreślająca ich szerokość, gdyż cały ogródek przedstawiał poza ścieżkami szereg skibek, porządnie obrobionych pod uprawę jarzyn; gdzie niegdzie tę jednostajność urozmaicały drzewka owocowe, pokryte już kwieciem, umalowane od spodu wapnem. Ogródek otaczał niewysoki parkan, z za którego rozciągał się szeroki, zda się nieskończony, widok na stok górki, zieleniejącej wiosenną trawką, a dalej na obszerne łąki, zalane teraz wodą, olszynę szarzejącą wdali swemi bezlistnemi gałęziami, las ciemno-niebieski, a dalej znów jakieś łąki i znów lasy coraz bledsze w kolorze, coraz dalej rozplywające się w szafirze bezchmurnego, wiosennego nieba. W tym

domu okna dziś oświetlone od strony ogrodu i ruch jakiś niezwykle o nocnej porze panuje wewnątrz. Z komina dym wznosi się jasno-siną pionową wstęgą w niebiosy.

Gromadka bachorów wiejskich ciekawie zagląda do jednego okna, w którym biała perkalowa zasłona niedość szczególnie kryje wnętrze izby, gdzie dzieje się coś niezwykłego.

Nagle z tej izby dał się słyszeć krzyk kobiecy, jęki i wvrzekania napół przytomne.

— Krzycy — szepnął chłopak wiejski do całej gromadki dzieciaków.

— Krzycy — ktoś mu przywtórzył.

— Oj, krzycy — powtórzyła żałośnie jakaś dziewczynina z gromadki.

Nagle drzwi się otworzyły i do ogródka wyszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w długie buty i kurtkę.

— O Jezu, pan rzundca! — krzyknął chłopak i cała gromadka dzieciaków, jak spłoszone stadko kuropatw, zaczęło zmykać w stronę parkanu, przez który zwinnie przełaziły, jak koty.

Rządca spostrzegł zaraz ciekawskich i huknął na nich swym potężnym głosem:

— A wy smarkacze, poszli wont! A to szarańcza paskudna, chamskie nasienie, psie krwie jakieś!

Podszedł do parkanu i wygrażał im pięścią, choć zapewne żadne z dzieci tego już spostrzec nie mogło, tak szybko uciekły z ogródka, porzucając w przestachu swój punkt obserwacyjny.

Pan rządca był widocznie mocno rozdrażniony, gdyż ręce mu potężnie drżały, gdy skręcał w palcach papierosa i zapalał.

Przeszedł się po ścieżkach ogródka, zaciągnął się papierosem, gdy usłyszał znów przeraźliwy krzyk

za oknem, gdzie przed chwilą dzieciaki wiejskie zaglądały.

Syknął boleśnie i spojrzał niespokojnie w oświetlone okno, gdzie na białej zasłonie zamigotały wraz cienie krzątających się tam osób. Poszedł dalej od domu, może aby mniej słyszeć bolesne skargi kobiety, które snąć raniły jego serce i przez parkan spojrzął wdał na rozciągający się za ogrodem widok.

Księżyc oświecał teraz cały ten pejzaż.

Zieloną równinę urozmaicały choiny o wysmukłych pniach z gałęzmi u samych czubków, jak parasole rozpostartemi. Przypominały one jakieś egzotyczne drzewa. Dalszy plan zakryły osrebrzone księżycem mgły, dając obraz nieskończonego oceanu.

Ciszę bezwietrznej wiosennej nocy przerywał raz w raz głos ptaka w olszynie, zwanego barankiem, który naśladował do złudzenia zbłąkaną wśród moczarów owcę.

Rządca patrzył na to wszystko, ale pewnie nie zachwycał się czarem budzącej się wiosny, gdyż niespokojnie oglądał się na oświetlone okno swej sypialni i nerwowo pociągał papierosa.

Wtem zalegającą teraz ciszę przeszył przeraźliwy krzyk cierpiącej w tym domu kobiety, jeden krzyk krótki, śpiczasty, ostry i zamarł...

Cisza w tej chwili zdała się jeszcze uroczystsza...

Po chwili drzwi od ogródka skrzypnęły i ozwał się głos dziewczyny:

— Panie Fiukalski, panie Fiukalski!

— Ja! — odezwał się mężczyzna na końcu ogródka.

— Ju! — zawołała mu wślad dziewczyna z jakimś triumfem w głosie i wnet drzwi za sobą zatrasnęła.

Mężczyzna klusem prawie pobiegł do domu.

Narodził się człowiek.

Księżyc oświecał dom na górze, zieloną równinę urozmaiconą choinami o wysmukłych pniach z gałęzmi u samych czubków w kształcie parasoli, a dalej srebrzący się ocean mgieł, zaścielający łąki i lasy...

Ciszę bezwietrznej wiosennej nocy przerywał głos „baranka” z olszyny i jakieś szepty tajemnicze, czy też westchnienia niesłyszalne...

Czy to powiew wiatru poruszył odarte z liści gałęzie, czy może to duchy powietrzne zawiodły tajemniczy rozhovor około domu... Może zęgnały jednego z pośród siebie, który właśnie wcielił się w noworodka, aby cierpieć i wytrwać w dolinie łez, póki śmierć go nie wyzwoli i nie powróci go trenscedentalnym dziedzinom, które był porzucił na czas jakiś.

II.

Zdarzają się jeszcze szlacheckie domy, pałace, ogrody, otoczone nieprzebytym murem, w których rodziny żyją odrębnem życiem średniowiecznych przesądów; koło nich przechodzi inne, coraz to nowe życie, pełne ewolucji, zmian, nowych haseł i prądów, mija zasklepione w swych wyssanych z mlekiem matek pojęciach oazy dawnych tradycji, bieży swem bujnym tempem dalej, nie zwracając uwagi na te gniazda, nie odczuwające prądu czasu, nieszkodliwe dla postępu, lecz i nie dające nic ze siebie ku demokratyzacji świata dla nich zewnętrznego, bo żyjącego innem życiem tam za pałacem, poza murami parku i za widnokręgami ciasnych światopoglądów

tych trącących myszką zda się niedzisiejszych istot. Do takich środowisk należał pałac i rodzina zamieszkująca go z dziada pradziada w majątku Rosochy, należącym do księcia Teschen-Cieszyńskiego.

Rzuciwszy okiem na ściany jadalni, widziałeś tam w chronologicznym porządku wiszące portrety przodków obecnego właściciela majątku, tytułu i nazwiska.

Najdalej od środka ściany zwracał na siebie uwagę rycerz w żelaznej zbroi, o bladej twarzy, z długim, garbatym nosem i zaciętym, twardym wyrazem w czarnych oczach i brwiach, zsuniętych pośrodku i niezwykle krzaczastych. Dalej cały szereg panów w kontuszach, deljach, francuskich strojach, mundurach dawnych wojsk polskich, pań w robro-nach, w strojach empirowych, zdawał się z zadowoleniem przyglądać siedzącym przy stole potomkom, którzy starali się tak skrupulatnie zachowywać szanowne tradycje magnackiego klejnotu i przeciwstawiać się bohatersko narzucającym się przez płynące wciąż naprzód życie zmianom pojęć, zwyczajów i nowych prawd.

Długi stół, nakryty jeszcze obrusem po kolacji, oświetlał starożytny brązowy żyrandol ze świecami. Na pierwszym miejscu bokiem do stołu przysunięty był wózek dla paralityków. Rozparty na nim siedział wygodnie starzec, swym nosem, oczami i zwisającymi nad niemi siwymi brwiami przypominający na pierwszy rzut oka w tyńie protoplastę z pierwszego portretu. Lewa ręka spoczywała na lasce o gumowej skuwce, a prawa opierała się o stół; lewa noga, obandażowana aż do kolana, sterczała naprzód, oparta na podpórce, specjalnie na ten cel przy wózku urządzonej.

Po prawej stronie starca siedziała na krześle

młoda osoba, synowa owego paralityka, zaś po jego lewej stronie — syn, dużo starszy od swej żony, chociaż stanowili na wygląd zupełnie dobraną parę. Dalej przy ojcu siedział na wysokim foteliku wnuk, otwierającego to posiedzenie, a przy matce wnuczka, dziecko trzyletnie. Za jej krzeselkiem stała niańka, gotowa na każde skinienie małej arystokratki.

Na dalszym planie widziałeś młodego księdza, wikarego z sąsiedniej wsi, dalej „mademoiselle” do dzieci i studenta uniwersytetu, guwernera małego Adolfka, który miał wprowadzić dopiero siedm lat, lecz już poczuł przymus, jakiemu wszyscy, nie wyłączając nominalnego dziedzica, odczuwali w stosunku do despotycznego starca. On to właśnie, wbrew ojcu i matce, kazał sprowadzić dla wnuka nauczyciela i badał surowo i nieznosnie postępy małego Adolfka. Ponieważ służba nalewała czarną kawę starszym, więc dzieci nudziły się bezczynnością po wieczery, która podług tradycji dość długo się tu ciągnęła. Mała Hala rozglądała się niecierpliwie na wszystkie strony, czekając, rychło pozwolą jej niani zabrać ją do dziecinnego pokoju. Niańka poprawiała ją raz wraz na krzeselku i zalecała ledwie dosłyszalnym szeptem, aby się nie kręciła. Spoglądała przytem z trwogą na starszego jaśnie pana, bojąc się, aby zachowanie się dziewczynki nie wywołało wybuchu gniewu gwałtownego starca. Adolfek chmajał pod stołem nogami, aby w ten sposób skrócić sobie dłużący się czas.

Tymczasem starsi, pijąc czarną kawę, wonną, bajecznie zaparzoną i przyrządzoną, prowadzili cichą rozmowę, nudną, niemądrą, niepotrzebną. Adolfek nie mógł pojąć, poco ci starsi to wszystko mówią. Podejrzewał, że oni tylko udają, że rozumieją to, co mówią i zdawało mu się, że, używając różnych nie-

zrozumiałych dla niego wyrażen, mają jedynie na celu pokazanie dzieciom, że są dorośli, aby je, dzieci, upokorzyć i aby wyzyskać ich cierpliwość do ostatnich granic w słuchaniu tych bezsensownych rozmów i siedzeniu przy stole sztywno, a poważnie. Adolfek niektóre z tych słów, nie mających, według niego, żadnego istotnego znaczenia, znał już namięć i nienawidził ich narówni ze sztywnem przymusowem siedzeniem przy stole po obiedzie i kolacji.

Polityka, etyka, agronomja, antenaty, splendor, etnograficznie, farmazon, dyplomacja, tradycja...

Jak on nienawidził dźwięków, tworzących te niezrozumiałe wyrazy. Miał wewnętrzne przekonanie, że starsi wymyślają te trudne wyrazy, aby dzieci niemi gnębić po obiedzie i kolacji.

szych, co było z jego strony nielada bohaterstwem; zapytał dziadka, przed którym drżał w panicznym

Kiedys odważył się wtrącić do rozmowy strachu i uszanowaniu, jak zresztą wszyscy w tym domu, zapytał go raz, co to znaczy „stan“, o którym rozmawiano, a o „stanowości“ i „stanach“ najwięcej coś dowodził dziadzio. Ku wielkiej radości malca dziadzio nietylko się nie rozgniewał na śmiałka, ale zaczął wnukowi wykładać, co to są „stany“. Chłopiec oczywiście nic a nic nie rozumiał i zapamiętał tylko, że cała jego rodzina należy do wyższego stanu, a sam dziadek to już musi w tej „stanowości“ zajmować najpoważniejsze miejsce.

Wyławiał teraz uchem pojedyncze wyrazy „bez znaczenia“ dla niego wymawiane przez starszych; jedno z nich poznawał jako stare znajome, inne zaciekawiały go nowością swych dźwięków. Nudził się strasznie. Zegar, stojący w kącie, zaczął wydzwaniać jakąś godzinę; malec liczył na palcach uderzenia

i marzył o chwili, gdy będzie mógł opuścić nudne towarzystwo starszych.

Zegar ucichł, Adolfełk spojrział na dziadka, czy czasem nie da sygnału, zwiastującego koniec wieczery, ale, niestety, dziadek dowodził coś księdzu, zdającemu się z niezmierną uwagą przysłuchiwać mówiącemu, potakując co chwila głową. Biednemu Adolfełkowi nie pozostawało nic innego, jak rozpocząć dalej na chwilę przerwana podróż w krainę fantazji zapomocą machania nogami pod stołem. Nagle chciał widać przeskoczyć jakiś większy dół, który napotkał w swej dziecięcej fantazji i jedną nogą tak wysoko zamachnął, że noskiem trzewika z całych sił wyrzwał o blat stołu, na którym aż filiżanki zabrzęczały.

Struchlał.

Spojrzał na dziadka.

Ten swe groźne oblicze zwrócił na winowajcę, jego zmarszczone brwi zakryły prawie wytrzeszczone oczy.

— Co to jest?

Matka z wyrzutem spojrzała na swego infanta, ojciec odsunął go z fotelikiem od stołu.

— Co to miało znaczyć?! — krzyknął znów, skandując wyrazy, dziadek.

— Zdaje się, niechcący nogą uderzył w stół — odpowiedziała, starająca się załagodzić nieporozumienie, matka.

— Ciebie nie pytam.

— Czemu sam, smarkacz, nie odpowiada? — wlepiając swe przenikliwe spojrzenie, indagował go dalej dziadek.

— No, odpowiadaj... — radził mu ojciec.

— Tak, proszę dziadziusia, ja niechcący... — tłumaczył się, jękając, winowajca.

Cisza zapanowała grobowa, tylko trzyletnia Hala roześmiała się wesoło z tej całej awantury.

Schorowany starzec zgrzytnął na ten nietakt Hali zębami i dysząc jeszcze czas jakiś ciężko po gniewie, zaczął przerwana z księdzem rozmowę.

— Kobieta powinna się szanować — dowodził — każda kobieta powinna mieć ten wrodzony takt, żeby rozumieć, co wypada, a co nie wypada jej czynić w różnych sferach, w jakich ją losy umieszczą i w różnych okolicznościach.

— Bez wątpienia, panie dobrodzieju... — przytakiwał wikary.

— To też Fiukalskiej wcale nie żałuję. Kobieta, będąc w poważnym stanie, nie powinna była jeździć do miasta, nie mając gwałtownego tam interesu. Że teraz zaszły jakieś komplikacje, sama sobie winna.

— „W poważnym stanie” już znam — myślał sobie Adolfek, ale te „komplikacje”, to zupełnie dla mnie coś nowego.

Teraz pani domu ośmieliła się zabrać głos:

— Byłam u niej po obiedzie, bardzo biedaczka cierpi.

— Wypowiadała się bardzo przykładowie i lepiej jej się zrobiło — dodał ksiądz.

— Pan Bóg wie, co robi. Jeżeli zsyła cierpienie, należy je znosić z cierpliwością, jak każdy dar boży.

Z częstych zdań tego rodzaju, jak to ostatnie, wypowiedzianych przez dziadka, Adolfek urobił sobie pojęcie o Bogu, jako o jakiejś mściwej istocie, czyhającej, kiedy tylko się uda, zrobić przykrość każdemu, a zwłaszcza małym dzieciom. Wszystkie bowiem cierpienia Adolfka były, według słów dziadka, karą bożą.

Grzmi, Bozia się gniewa, Adolfek spadł z drzewa, Bozia go ukarała zato, że nie słucha starszych,

brzuszek go rozboleł — to Bozia karze go za jego łakomstwo.

„Ach, ta Bozia” — myśli Adolfek i siedzi cichutko, nie macha już nogami i słucha, a dziadek dalej mówi:

— Kobieta, gdy Bóg obdarzył ją poważnym stanem, powinna uszanować ten dar Boży, powinna być uważną, przezorną. Ale te baby to tylko, panie, fiu bǳiu w głowie i tyle.

Adolfek widać chciał się przypodchlebić dziadkowi, aby zatrzeć zupełnie poprzednie z dziadkiem nieporozumienie, i ni stąd, ni zowąd powiedział:

— Prawda, że dziadzius jest najwięcej w poważnym stanie?

Niańka prychnęła, jak młoda klacz, tłumionym śmiechem i zatkała se kułakiem usta.

Starsi stłumili, jak umieli, gwałtowny śmiech. Dziadek uderzył laską z całych sił po stole, przyczem rozbił naczynie z czarną kawą.

— Precz stąd!! — zaryczał formalnie.

Ojciec schwycił malca pod pachy i tak wyniósł go z jadalni.

Ruch się zrobił koło stołu, służba zbierała skorupy zbitego naczynia ze stołu, usuwano zalany kawą obrus.

Dziadek groźnym wzrokiem wodził po twarzach przed chwilą roześmianych, a teraz starających się zachować powagę obecnych.

Hała się przestraszyła i mrugała nerwowo swemi wielkimi oczkami, bojąc się zapłakać.

Po chwili, gdy stół doprowadzono już do porządku, wszedł lokaj i oznajmił pani, że rządcy urodził się przed chwilą synek.

— No, chwala Bogu — zawołała pani.

— Będzie jeszcze jeden socjalista więcej —

uruknął zirytowany i nie mogący jeszcze ochłonąć z gniewu dziadek.

— Czemuż zaraz stawiać takie smutne horoskopy nowonarodzonemu dziecku — zauważyła pani.

— Naturalnie — przytaknął jej ksiądz. — Z tych sfer trafiają się bardzo szanowni kapłani; naprzykład nasz biskup, podobno jest synem oficjalisty.

— Wyjątki wszędzie się trafiają — odrzekł stary pan i popił świeżo nalanej mu przez lokaja kawy.

Mama zaczęła Hali objaśniać, że państwu Fiu-kalskim narodził się mały chłopczyk. O, taki malutki, z główką, jak piastka, nie większy od lali, którą Hala dostała na gwiazdkę.

Hala się nadzwyczajnie zainteresowała tem zdaniem, pytała, czy ten chłopczyk jest żywy i czy mówi, jak jej lalka, „mama i papa“. Dowiedziawszy się jednak, że chłopczyk nie posiada tych zdolności, nabrała odrazu o nim złego wyobrażenia, jako o istocie o tyle niżej stojącej od jej lalki. Nie omieszkała też zaraz z ciekawością zapytać, jak to się dzieci rodzą, na co, naturalnie, żadnej odpowiedzi nie otrzymała i tylko dziadek zauważył, że tego rodzaju rozmowy z dziećmi wywołują w nich niepotrzebną, niezdrową ciekawość, że za jego czasów dziecko nie osmielełoby się wtrącić do rozmowy starszych, jak na przykład, przed chwilą nieznośny Adolfek; że to sprzyja właśnie rozbudzaniu w dzieciach myśli, które są później podłożem wszelkich ateizmów, socjalizmów, anarchji i t. d.

Hala spytała mamy, czy będzie mogła się zobaczyć żywą lalką, co nie mówi papa, ani mama, na co matka obiecała jej pokazać to małe dziwowisko.

Wreszcie dziadek wypił kawę i dał niedostrzeżalny, lecz natychmiast przez lokaja dostrzeżony znak, aby go odwieźć do sypialnego pokoju. Starzec

przeżegnał się starannie, skinął głową obecnym i po-
żegnał ich tradycyjnym „pochwalonym”.

Prócz guwenera, wszyscy odpowiedzieli: „Na
wieki wieków” i stary despota odjechał popychany
przez lokaja, na swoim wózku.

W tej chwili wrócił i ojciec od płaczącego Adol-
fka i zawiadomił pocichu panią, że Adolfek tak się
przestraszył energicznego wystąpienia dziadka, że
teraz służąca musi mu zmieniać ubranko i inne
rzeczy.

Gdy zabrakło w tem gronie srogiego seniora tej
rodziny, zapanował natychmiast jakiś ożywiony na-
strój w tym pokoju, obwieszonym antenatami.

Nawet trzyletnia Hala odczuła zaraz brak tego
ogólnego przymusu i bez wahania wlaźła na stół
z nóżkami i zaczęła na czworakach wędrówkę po
obrusie.

Niańka chciała jej w tem przeszkodzić, ale mała
zaczęła głośno wołać:

— Nie, nie, nie, ja chcę, ja chcę — i matka po-
leciła dać spokój małej dziewczynce.

Nawet młody ksiądz ożywił się i wzięwszy pod
rękę studenta, zaczął z nim spacerować koło stołu,
kontynuując z nim jakąś dawno przerwana dysputę.

Wreszcie pani domu zaproponowała, aby niańka
ubrała Halę i wzięła ją na rękę, gdyż pójdą razem
obejrzeć noworodka. Hala klasnęła w ręce z radością
I poszli.

Pani szła cienistą, lipową aleją, wiodącą środ-
kiem starego parku, a za nią ostrożnie stapała niań-
ka z Halą na rękę.

Zdaleka odzywał się puhacz swym nieprzyjem-
nym krzykiem. Niańka przeżegnała się zabobonnie,
snać pomyślała o chorej położnicy.

Przeszły cały ogród i przez furtkę weszły do in-

nego małego ogródka, na który rzucał cień dom rządcy, stojący pośrodku.

Otworzył im drzwi, uradowany i pełen szacunku i wdzięczności dla jasnie pani, Fiukalski.

— Wszystko w porządku, proszę księżnej pani — objaśnił we drzwiach jeszcze.

W sypialnym pokoju leżała w łóżku pani Fiukalska, blada i zmęczona niedawnymi przejściami. Obok łóżka, w kolebce leżało małe bobo, czerwone i zabawnie pomarszczone, umieszczone w pięknej poduszce o niebieskich wypustkach; śnać wykąpane drzemało błogo po gwałtownym przewrocie, jaki zaszedł przed paru godzinami w jego położeniu. Hala przyglądała się uważnie swemi wielkimi oczami i nareszcie zapytała:

— Czy to żywe?

— Żywe, juści, żywe — zapewniała ją niańka.

Hala spojrzała w twarz jej, potem na noworodka, śnać niedowierzała niańce. Księżna wzięła poduszkę z dzieckiem na rękę i zbliska pokazała Hali małego Fiukalskiego. Hala bliziutko popatrzała na pomarszczoną twarzyczkę i zauważyła:

— Dlaczego oczów niema?

— Ma, tylko zamknięte — objaśniła matka.

— To mu się oci popsuli... — mówiła mała.

— Dlaczego?

— Bo jak moją lalkę się podnosi, to oczy otwiera, a jak się kładzie, to zamyka, a on ma popsute.

— Ach, ty mały głuptasku — roześmiała się matka i pocałowała w oczko swoją córeczkę.

Księżna złożyła wspaniałą poduszkę z dzieckiem w kołysce i pomyślała sobie, jak to niedawno w tej samej poduszce, darowanej obecnie w prezencie rządcy, nosiła nieraz tę pełną inteligencji dzisiaj już i zastanawiającą się nad wszystkim Halę.

Dobra pani spytała położnicę, czy jej czego nie potrzeba, zapewniła ją o swej życzliwości i życząc zdrowia, wyszła, żegnana błogosławieństwami obojga rządu.

Takie było pierwsze spotkanie Hali, księżniczki Teschen-Cieszyńskiej z Markiem Fiukalskim.

To pierwsze spotkanie usposobiło księżniczkę bardzo krytycznie wobec Marka. Cóż to mi za lalka, co ma oczy popsute, i która nie mówi „papa” i „mama”. Przytem niema kololów na policzkach, brak jej cudnych blond loków koło buzi, jednym słowem, jest do niczego. Tak przynajmniej księżniczka objaśniała braciszka, niańkę i wszystkich, którzy się interesowali jej wrażeniami w tym wypadku.

Ksiądz i guwerner, którzy przed chwilą jeszcze kłócili się o to, czy ziemia trwa pięć tysięcy lat, czy znacznie dłużej, teraz zgodzili się na jedno, że Hala jest rozkosznym dzieckiem.

III.

Ponieważ noworodek przyniósł sobie na świat, jak to mówią, imię Marka, więc tem imieniem go ochrzczono; podczas chrztu krzyczał bęben niemożliwie, więc przepowiadano, iż będzie się chował zdrowo.

Pewnego letniego popołudnia starszy pan objawił życzenie ujrzenia małego Fiukalskiego, o którym słyszał, że rozwija się nader pomyślnie.

Pan rządcą, do którego to życzenie było wypowiedziane, pobiegł, jak mógł, najprędzej do domu, oznajmić żonie, iż Marek ma za chwilę stanąć przed obliczem starszego jaśnie pana. Malca paromiesięcz-

nego odpowiednio wystrojono, wymyto i pani Fiukalska zniosła do pałacu swego jedynaka.

Stary książę przyznał, że malec zdrowo wygląda. Mała Hala zbyt blisko przyglądała się Markowi, za co ją drapnął swemi pazurkami po policzku, zostawiając jej na buzi bolesne znaki. Hala się rozplakała i zapowiedziała, że już nigdy z Markiem się bawić nie będzie.

Pomijając tę jedną wycieczkę malca poza płot ogródka, w którym stał dom, zamieszkiwany przez Fiukalskich, życie oseska upływało jedynie wśród czterech ścian czworaka, lub najdalej w ogródku, płot którego oddzielał go od świata zewnętrznego. Gdy malec podniósł się już z czworaczków i na nóżkach próbował wymykać się z pod matczynej opieki, wrodzona ciekawość ciągnęła go nieprzeparcie do wszelkich dziur i szczelin w parkanie, skąd starał się obserwować dalsze horyzonty i w ten sposób rozszerzać swój szczupły światopogląd.

Najwięcej zainteresowania budziła w nim szczelina w płocie, utworzona wyrwaną jedną żerdzią. Mógłby był przez nią wyleźć na pewno nazewnątrz, ale takie przedsięwzięcie było jeszcze związane ze zbyt wielkiem ryzykiem, to też najwyżej główkę wychylał i patrzył ciekawie na szeroki pejzaż, rozciągający się u stóp wzgórza, na którym malec ujrzał świat boży. Z tego obserwatorium dostrzegł słońce, które ginęło, czerwieniąc się nad wieczorem, za strzępiastym konturem lasów; księżyc, zalewający swem zimnem światłem, powstające z łąk i parowów, mgliste opady.

W jego niemowlęcym mózdzku zachodziły pewne asocjacje, które ustalały związek między słońcem a dniem, księżycem i nocą. Specjalną jego uwagę zwracały na siebie miliony świecących na firma-

mencie gwiazdek. Największe jednakże wrażenie sprawiał mu widok nieskończony, który tam tworzyły mgły, zaścielające cały nieraz krajobraz, jakby jakieś morze, stykające się z horyzontem gdzieś w nieskończoności. Wtedy Marek długo wpatrywał się w dal, nie rozumiejąc fenomenu, który tak zupełnie zmienił widok, dobrze mu znany poprzednio. Swe obserwacje dziecko zwracało i na drugą stronę domu, ale płot z tamtej strony był porządnie utrzymany i zaledwie gdzie niegdzie można było znaleźć szparkę, przez którą udało się zerknąć na książęcy park i to tylko jednym oczkiem. Aby zbadać te nieznanne dziedziny, które rozstaczały się po tej stronie ogródka, w którym znał Marek już każdy kamyczek i roślinkę, aby zbadać ten książęcy park, Marek o tem nie marzył w najśmielszych pomysłach. Z rozmów swej matki i ojca nabrał przekonania, że furtka, którą jego ojciec chodzi czasem po dyspozycję do dworu, dla małego Marka jest zamknięta na zawsze. Tem bardziej coś go ciągnęło w przeciwną stronę i rad był marzyć o tem, jak kiedyś nabierze na tyle odwagi, że wykradłszy się z domu, wylezie przez płot, a potem z górki na pazurki spuści się na dół, gdzie wieczorami żaby rechocą, gdzie bocian czasem spaceruje na swoich długich, czerwonych nogach i skąd powstają mgły, jakby jakieś pozaświatowe widma.

Chłopczyk miał już cztery lata, gdy matka zauważyła w domu jego dłuższą nieobecność. Pytała naokoło wszystkich, czy Marka kto gdzie nie widział, ale nic podobnego, malec przepadł, jak kamień w wodę. Z tego powodu pan rządca robił żonie srogie wymówki, iż nie pilnuje jedynaka, a ona wyrzucała sobie zbyt lekkomyślne zostawianie go samym.

— Ależ, bo gdzież ten smarkul mógł się po-

dziać w naszym ogródku, nie mam pojęcia — powtarzała zafrasowana.

Aż oto właśnie gęsiarek przyprowadził Marka za rękę, mówiąc, że znalazł go dość daleko od domu, na łące.

Tak więc właśnie nadszedł ten czas, kiedy malec zdecydował się puścić na wędrowkę, dla zbadania widzianych dotąd okolic. Mama nakrzyczała na niego porządnie, ojciec dał mu nawet dwa, czy trzy klapsy, ale co użył, to użył, i tych niezwykłych wrażeń już nikt mu nie odbierze. I gdy leżał zasypiając w swem małym łóżeczku, śniły mu się olbrzymiej wielkości żaby, które ciekawie wyglądały z moczarów na małego wędrowca, a on szedł dalej i dalej, chcąc zbadać istotę tych dziwnych mgieł, których ani śladu w dzień nad łąkami nie mógł dojrzeć. Gdy ojciec dopytywał się go, w jaki sposób dostał się poza ogródek, sprytny chłopaczek tendencyjnie płatał się w zeznaniach, aby ocalić od zabicia deską tej szpary w parkanie, przez którą miał jedyny kontakt z dalszym światem, do którego ciągnęła go nieprzeparta ciekawość.

Życie tego maleństwa płynęło bardzo monotennie. Prawdziwemi sensacjami dla malca były wizyty różnych interesantów u ojca. Przysłuchiwał się ciekawie, gdy ojciec przy kieliszku targował zawzięcie woły, opasy z jakimś handlarzem, lub z żydami ustalał cenę zboża. Największem zdarzeniem dla Marka w tych czasach było pozyskanie małego szczeniaczka, którego mu przyniosła dla zabawy pewna chłopka, zaopatrująca ich dom w grzyby i jagody. Od tej pory Marek miał towarzysza nieodłącznego, którego niewiadomo z jakiej racji nazwał z punktu „Klamką”, chociaż szczeniak był psem, a nie suczką. Klamka przywiązał się powoli do Marka, chociaż jego

czułe pieszczoty i uściski nieraz dały się pieskowi porządnie we znaki.

Gdy nadeszła zima, Marek zapomniał wogóle, że kiedy indziej bywało ciepło na dworze, że suche dziś badyle drzew bywały zielonemi liśćmi pokryte, że słońce przygrzewało dłużej i intensywniej, niż teraz i, że sam Marek biegał swobodnie po małym ogródku, bawiąc się piaskiem, patyczkami, kwiatkami... Niewola w domu dopiekała mu do żywego, ale nie zastanawiał się nad tem, czy ten biały śnieg ma przeznaczone sobie kiedyś zniknąć i czy on ze swym Klamką będzie mógł znów biegać po ogródku.

To też epoką w jego życiu była wiadomość, że jaśnie pani prosiła jego matkę, aby synka przyprowadziła do pałacu na choinkę. Daremnie pytał kogo mógł, co to jest choinka, ale zbywano byle czem jego ciekawość i ani rusz nie mógł wystawić sobie, co to jest choinka, czy wysoko się na choinkę wchodzi, czy to się je i t. d.

Pałac.

Ten wyraz posiadał dla niego urok czegoś bajecznego, niedoścignętego...

Miał więc dziś doświadczyć, co to jest ów pałac, o którym rodzice odzywają się z dziwnym szacunkiem, a który jest gdzieś za parkiem, widzianym, jako zbiór starych drzew, alei i ulic, przez dziurkę w parkanie po przeciwnej stronie szerokiego pejzażu, widzianego z płaskowzgórza, na którym stał czworak. Zastanawiając się nad momentem, który go czeka, Marek przypomniał sobie, że raz zauważył w tej stronie wózek dziwnej budowy, pchany przez lokaja, na którym siedział straszny stary pan z nogą, sterczącą naprzód, jakby kogoś kopał.

Pamięta, że ów pan zawołał ogrodnika, któremu ostro dawał jakieś napomnienia, a ten stał, jak

mur, wyprostowany, z czapką w ręku. Na ten widok strach obleciał Marka, a ów straszny pan śnił mu się często, gdy za dużo zjadł klusek kartoflanych na łolację. To też, dowiedziawszy się, że mama zabrać go ma ze sobą do pałacu, zdał sobie sprawę przede wszystkim z tego, że pewnie będzie musiał stanąć oko w oko z tym starym panem, który tak groźnie przedstawiał mu się w jego dzieciennych snach.

Cały wtedy pałac i choinka straciły dla niego wszelki urok i oddałby wszystkie swoje najdroższe kamyki, które miał zebrane w pudełkach od zapalek, oddałby nawet drewnianego konika na kiju za to, aby móc zostać w domu. Zwierzył się nieśmiało mamie, że nie ma ochoty włączyć na choinkę, ale mama naśmiała się tylko i zaczęła go starannie myć, czesać i ubierać. Wtedy rozpacz go ogarnęła, gdyż nie miał już absolutnie z kim podzielić się swymi utrapieniami. Tulił tylko Klamkę czulej, niż zwykle i szeptał mu coś do ucha, zadowolony, że choć ten jeden nie naśmiewa się z jego wątpliwości. Marek postanowił pokryjomu zabrać ze sobą Klamkę na choinkę, aby mu tam raźniej było.

Gdy się zupełnie zciemniło, rodzina Fiukalskich zasiadła do stołu, gdzie spożyto wieczerzę. Marek nie miał wcale apetytu, gdyż myślał tylko ciągle, że za chwilę musi iść na choinkę, której się porządnie obawiał, zwłaszcza, że nie wiedział, jak wysoka jest ta choinka, na którą ma iść.

Nareszcie mama go troskliwie opatuliła, gdyż mróz był duży, i wzięła go za rękę. Malec zdążył schwycić pod pachę Klamkę.

Serce mu biło mocniej, niż wtedy, gdy puszczał się w podróż niegdyś przez szparę w płocie.

Gdy zapuścili się w cienistą lipową aleję, prowadzącą wprost do pałacu, gdy nad główką Marka

zaszumiały groźnie szkielety odartych z liści konarów, strach przejął niewypowiedziany jego małe serduszek i dla kurażu przycisnął mocniej do siebie Klamkę. W przedpokoju opuścił go nagle strach. Ale, bo też tyle nowych wrażeń uderzyło jego dziecianną wyobraźnię. Na wstępie oparł się na swych nóżkach i nie chciał wejść przez próg, gdyż zauważył nad drzwiami, prowadzącemi z sieni do holu, olbrzymi łeb dzika, potwora, o jakim słyszał tylko w bajkach, opowiadanych mu przez służącą. W tym momencie zgubił Klamkę, który pozostawiony swemu losowi, odrazu poszedł zwiedzić wnętrze pałacu, nie czekając na swoich, którzy z nim przyszli.

Lokaj, Jan, który bywał częstym gościem w domu Fiukalskich, dla malca tym razem też był obcym i niepewnym, miał bowiem na sobie mundur jeneralski ze złotymi guzikami i białe rękawiczki, zupełnie jak dowódca wojska na arkuszach do wycinania, które Marek miał schowane wraz z innemi swemi skarbami.

Mama i lokaj rozebrali malca i teraz oboje w holu musieli czekać, gdy księstwo skończy wilję.

Malec rozglądał się po wieszadłach, pełnych futer i palt, po ścianach, ozdobionych wypchanem ptactwem i rogami i zdawało mu się, że jest w zaklętym zamku, gdzie pod działaniem różdżki czarodziejskiej wszystko to ożyje naraz, zacznie fruwać i krzyczeć.

Wypieki wystąpiły mu na policzki i nerwowo ścisnął rękę swej mamusi.

Obok, w sali jadalnej, panował gwar, dyskretne śmiechy.

Wtem stamtąd dał się słyszeć podniesiony niski głos męski. Zaraz inne głosy ucichły. To starszy pan

dawał jakieś napomnienie lokajowi swym surowym niecierpliwym tonem.

Marek, który pod wpływem tylu nowvch wrażeń zapomniiał już zupełnie, co właściwie było przyczyną jego obawy przed księżęcym pałacem, teraz uprzytomnił sobie, jak żywe, w wyobraźni.

Przeczuł odrazu, że ten straszny głos, na dźwięk którego w tamtym pokoju zapanowała taka nagła cisza, należy do tego straszego pana na wózku ze sztywną nogą. Jakżeż chętnie drapnąłby stąd, gdzie pieprz rośnie.

Tymczasem drzwi od jadalni się otworzyły i lokaj skinął głową na przybyłych, aby tam weszli.

Pani Fiukalska zerwała się prędko i pociągnęła chłopca za rękę. Witła się ze wszystkimi, uśmiechając się najuprzejmiej, jakby chcąc dziękować za zaszczyt, jaki jej jaśnie państwo zrobili, prosząc ją tu z dzieckiem. Dzieciak odrazu na wstępie spostrzegł dziwnego autoramentu wózek z groźnym starcem i jego naprzód wystawioną nogę, jakby kopał niewidzialnego wroga, — i to pochłonęło uwagę malca całkowicie. Wsadził palec w usta i gapił się na tego pana, jak cielę na malowane wrota. Wcale nie zauważył, że matka pacnęła go po rękę i wypuścił ssany przed chwilą palec z ust, że różne osoby podchodziły go oglądać, a nawet dotykały jego amarantowych już teraz policzków i sterczących włosów. Z tego zadziwienia dopiero wyrwało go dzwonięcie w sąsiedniej sali. Lokaj popchnął naprzód wózek ze starym księciem do sali, a całe towarzystwo pośpieszyło za nim.

Tu Marek ujrzał coś, co przeszło wszelkie jego oczekiwania.

Coś jasnego, błyszczącego, pryskającego niezliczoną ilością iskier różnokolorowych ukazało się roz-



szerzonym żrenicom. Widział jakieś kule złote, nie złote, czerwone, nie czerwone. Kolory tęczy wirowały na zielonem tle jakiegoś nadziemskiego drzewka, które rodziło i złote orzechy i małe rumiane jabłuszka i pierniki i Bóg wie nie co jeszcze. Jakieś nitki złotych i srebrnych pajęczyn, jakieś niezliczone girlandy różnobarwnych łańcuszków z papieru zasnuwały bajeczną siecią to nadprzyrodzone zjawisko. Wkoło pachniał topiony воск i balsam sosny, coś grało przepiękną melodię, upajająco brzęczały jakieś harfy eolskie, a małe usteczka już bardziej się rozdziawić nie były w stanie.

— Nabok! — ktoś krzyknął rozkazującym tonem i odsunął Marka kijem z gumową skówką, troskliwe ręce pociągnęły go wbok tak silnie, że o mało co się nie przewrócił, czuł się objętym troskliwemi rękoma matki; w tem miejscu, gdzie stał przed chwilą, ujrzał sunącą naprzód groźnie sterczącą nogę, owiniętą bandażami, potem jakieś spuszciste, krzaczące brwi i wąsy, jakieś koła o gumowych obręczach... Czuł, że nieznane niebezpieczeństwo go ominęło. Ten cały apokaliptyczny wehikuł popychał lokaj, Jan...

Teraz wszystko ucichło; słyszać było tylko groźny głos, który wołał po kolei Adolfka, Halę i ogłaszał uroczyście ofiarowywane im prezenty. Marek słyszał to wszystko nie słuchając, gdyż teraz uwagę jego zaprzątnął kompletnie cudowny anioł o białych skrzydłach, który usadowił się wygodnie na najwyżej sterczącej gałęzce choiny. Anioł, zdaje się, zauważył Marka, wpatrzonego w niego, gdyż najwyraźniej życzliwie i słodko uśmiechnął się i prawie poruszył skrzydłami, aż świeczka jedna od poddmuchu pochyliła swój płomyk.

— To dla tego małego rządcy — ktoś tam znów mówił — Hala, daj temu małemu chłopczykowi.

O dziwo!

Anioł z choinki zbliżył się do Marka z tym samym życzliwym uśmiechem na różowiutkiej buzi, w niebieskiej sukieneczce z temi samemi złotemi kędziorkami, dyndającemi się koło cudnej twarzyczki. Małe anielskie rączki coś mu podawały, ale nie śmiał ręki po to coś wyciągnąć, usłyszał głosik, jak dzwoneczek;

— Niech ma, to dla niego...

Dopiero mama jego wytłomaczyła mu, że to dla niego, żeby wziął i ujął coś w swe wątłe ręce jakieś pudełko zapakowane w szary papier, jakąś blaszaną zabawkę i coś kudłatego, a bardzo dziwnego. Gdy z zabawek przeniósł wzrok na anioła, ten już znikł, więc spojrzał Marek na czubek choinki: aniołek już tam był zpowrotem i uśmiechnął się, jak przed chwilą.

Marek był jak w malignie. Nie odczuwał ani radości, ani uciechy, tylko bezbrzeżne zdziwienie i trochę przestachu.

Obecni całowali się, dziękowali sobie wzajemnie za prezenty gwiazdkowe, a on stał i patrzył, nie zdając sobie już sprawy z tego gdzie jest, skąd się tu wziął i co tu się wogóle dzieje.

Znów zabrzmiały tony jakby harfy, na której Marek w lecie słyszał grającą czeszkę, wędrującą po wsiach; bardzo mu się ta muzyka podobała.

Jakaś pani napchała mu w kieszonki bakalji, mama włożyła mu coś wybornego do buzi, ale nie umiał się zmusić do gryzienia tej słodyczy i trwał tak w swem bezbrzeżnem zadziwieniu.

Chór głosów w pewnym momencie zawołał z szunciem „Dobranoc, dobranoc” i znów Marek widział sterczącą nogę, która przejechała obok niego wraz z wózkiem i lokajem za nim. W tej chwili dał się w salonie słyszeć przeraźliwy szczeniący skowyt. Wszystkich oczy zwróciły się w stronę starszego ja-

śnie pana, który nie na żarty irytował się, że wpuszczono do salonu jakiegoś psa przybłądę, na którego właśnie Jan wózkiem najechał. Służba się ruszyła żwawo, ktoś kopnął pieska, aż z piskiem rozpaczliwym jak kłębek bawełny wykulgał się do drugiego pokoju, a tam słychać było, jak ktoś ściśnięciem dłoni tłumił rozpaczliwy skowyt Klamki. Zdziwiono się, skądby się mógł wziąć nieznany tu piesek.

— Zdaje mi się, że to nasz piesek — zauważyła pani Fiukalska — nie mam pojęcia, jak on się tu dostał. Możeś ty Marku przyniósł go ze sobą? — spytała synka. Ale on był tak tem zdarzeniem przerażony, że wyparł się wszelkiej wspólności z Klamką w żywe oczy. Młodszy książę robił gorzkie wymówki służbie, która się sumitowała, jak mogła.

Księżstwo byli bardzo niezadowoleni, że ten uroczysty wieczór nie mógł się obyć bez wyprowadzenia starego księcia z równowagi.

.

Tej nocy Marek spał bardzo niedobrze. Budził się, majaczył, a mama parę razy musiała doń wstawać.

Widział we śnie bajeczną choinkę, uśmiechającego się doń cudnego aniołka, słyszał jakąś nieziemską muzykę... Wtem te rojenia przeszył przykry skowyt Klamki i Marek zerwał się i usiadł na łóżeczku. Rozplakał się. Matka długi czas nie mogła go uspokoić, ani dowiedzieć się przyczyny jego niepokoju. Starala się go zabawić dużym niedźwiedziem, puszczała mu na podłodze nakręcany powóz z końmi, rozstawiała całe gospodarstwo: baranki, krowy, domki, drzewka, ludzi... nic nie pomogło. Zmęczony płaczem wreszcie zasnął.

Pierwszy raz Marek uczuł wtedy ból wyrzutów sumienia: wyparł się był Klamki, tego tak mu oddanego przyjaciela; skłamał, udał, że go nie zna... tam... w tym strasznym pałacu, gdzie wprawdzie jest aniołek z nieba, ale też i ten straszny starzec ze swą groźnie sterczącą olbrzymią nogą.

IV.

Kiedyś mama w lecie wzięła ze sobą Marka do obory, była to dla niego radość nielada. Wszystkie prawie krowy znał on z nazwiska, gdyż często towarzyszył pastuchowi, gdy ten wyganiał stado na pastwisko, to też taka wizyta w oborze przedstawiała dla niego specjalny interes. Wiedział on, którą krowę można wziąć bez obawy za ogon, a która znów da się raczej złapać za rogi, która bodzie, która kopie. Znał je na pamięć te Łyse, Czerwone, Bodziary, Ogoniaste i wszystkie inne.

Tym razem, gdy przyszedł do obory z mamą, zastał tam śliczną dziewczynkę z francuzką. Starsza od Marka dziewczynka, ujrawszy Fiukalską z synkiem, podbiegła śmiało do nich, podała rączkę pani, a Marka pogłaskała protekcyjnie pod brodę, zagadawszy do swej guwernantki:

— Quel joli garçon.

Marek wprawdzie nie zrozumiał jej szczebiotu, ale porządnie się zażenował.

W parę minut księżniczka i syn rządcy byli w najlepszej komitywie. Chłopiec starał się księżniczce zaimponować swoim otrzaskaniem się z oborą i jej mieszkankami.

Opowiadał jej swą dziecinną gwara, głęboko wzdychając po każdym niemal wyrazie, jak która krowa się nazywa, w co która kiedy wlaźła: ta graniasta

w groch, a tamta czarna w owies, a ten znów mały byczek w koniczynkę i mało co nie pękł.

— Takie bzucho miał... — pokazywał rączkami Marek.

Marek, patrząc na Halę, odnosił wrażenie, że tę małą panienkę już dawniej widział i w przerwach między jednym zdaniem a drugim usiłował sobie przypomnieć, gdzie to on widział już te różowe policzki, te duże niebieskie oczki i te misterne loczki blond koło ślicznej buzi.

We śnie?

No tak, we śnie także, ale przedtem...

Acha, już wie. Tę dziewczynkę widział na czubku choinki, tylko, że wtedy miała gwiazdkę na czole, a u ramion skrzydełka.

Tak, tak, to od niej Marek ma kudłatego niedźwiadka, nakręcany powóz z końmi oraz „gospodarstwo”. W pewnym momencie spytał księżniczki, czy umie teraz włączyć na wierzchołki drzew. Hala nie zrozumiała z początku jego pytania, a gdy powtórzył, zaczerwieniwszy się po uszy, swoje dzikie pytanie, ona wybuchnęła srebrzystym śmiechem i pobiegła do francuzki, która rozmawiała z Fiukalską, aby jej oświadczyć, iż le petit est amusant, że pyta jej, czy umie łączyć po drzewach...

Obie panie roześmiały się, a Hala wróciła do swego towarzysza.

Teraz Marek się trochę zaciął. Zapewne był urażony, że się z niego wyśmiewano i że Hala złamała ich dziecięcą solidarność, wtajemniczając starszych w ich prywatne dziecinne rozprawy.

Pani Fiukalska z francuzką zatopili się w interesującą ich żywo rozmowę. Pierwsza, zanim wyszła z zamąż za rządcę, była guwernantką u księstwa i uczyła, a raczej bawiła więcej jako bona Adolfa. Dzieli-

ły się więc spostrzeżeniami nad całym domem książąt Teschen-Cieszyńskich.

Małe nieporozumienie między dziećmi czas, ten najlepszy lekarz ran sercowych, wkrótce załagodził i zabił. Na co czas u starszych zużywa miesiące lub lata, na to u dzieci zaledwie kwadranse lub minuty.

Hala pytała Marka, czy nie popsuł tych zabawek, które mu na gwiazdkę wręczyła, ale on odparł, że zabawek tych wolno mu dotykać tylko w wyjątkowo uroczyste dni i to w obecności mamy, że więc są całe i niezspane. Hala z pewną chętnością zaznaczała różnicę między nimi dwojgiem, nadmieniając, że z tych zabawek, które ona i jej brat dostali na choinkę, ani śladu już niema, a na ich miejsce już całą furę innych dostali od czasu Bożego Narodzenia.

Czy Marek uczuł tendencję powiedzenia Hali, czy też tylko instynktem wiedziony, ale w głębi swej dziecinnej duszyczki pożałował swej szczerości wobec dumnej panienki i zaraz odparował to cięcie floretu małej arystokratki, mówiąc, że wogóle niebardzo lubi się bawić temi zabawkami, niby że one mu nie imponują, gdyż ma wiele innych rozrywek nierównie ciekawszych od powozu nakręcanego, lub „gospodarstwa”.

Hale zainteresowało to, co taki malec będący stale poza ich pałacem, ma do zabawy, a czego znów ona z Adolfkiem nigdy nie widziała lub nie doświadczała.

A więc, wyciągając swą maleńką dłoń do cielaczka, który z satysfakcją lizał swym szorstkim językiem jej delikatną rączkę, starała się wyrozumieć rozkosze zabaw, o których jej teraz paplał Marcio, a które dla niej, jak mniemała, były niedostępne a niezmiernie pożyteczne, jako owoc zakazany.

O tak, czyż to nie rozkosz móc zdjąć trzewiki

i pończoszki, a potem bosem nogami miesić czarne, lepkie błoto?

Albo bez pomocy sztucznych klocków, lecz własnym przemysłem z patyczków, kamiuszczków i cegieł budować domy, stodoły, pałace...

Hala nie ma pojęcia, o ile lepsza do zabawy, jest krówka zrobiona z zielonego jabłka, znalezionej pod jabłonią, z czterema kołeczkami węń powtykanymi od krówki zrobionej z drzewa, pomalowanej olejno i przyklepionej do deszczuлки.

Taką krowę bezkarnie można popsuć, można jej każdą nogę zosobna lub wszystkie razem wyrwać i połamać i ani pół klapsa się za to nie dostanie...

Zresztą Marek choć mniejszy od Hali nie samą tylko zabawą żyje..., on czasem pracuje...

Hala z niedowierzaniem spojrzała na malca, wyjęła chusteczkę od nosa i starannie wycierała swą dłoń poślinioną językiem cielaka; zaciekało ją mocno, co za pracą może się zajmować taki brzdąc, comme celui-ci. Widząc jednak w Marcju już nie tak zwykłego chłopca jak np. Adolfe, lub inne dzieci z ich sfery, gotową była uwierzyć w pracowitość Marcja, oraz w użyteczność jego pracy.

— Cóż ty masz za robotę? — spytała go z zainteresowaniem.

— Ba, — odrzekł zapytany z pewną pychą; instynktownie przeczuł, że już zainteresował pannę swą małą osobą.

— No więc?... nagliła Hala, ciekawa tajemnic życia poza pałacowego.

— Różnie pracuję. Jeżdżę z parobkami po zboże i konie mogę potrzymać, jak oni odchodzą na chwilę od wozu.

— A jeszcze?

— Zamiatam liście w ogródku naszym. Ja nawet pieścić umiem.

To ostatnie najwięcej zaimponowało księżniczce, gdyż nie zrozumiała, co znaczy „pielić”, a zawahała się zapytać go o to, ponieważ wstyd jej było, iż on o tyle od niej mniejszy, zna wyrazy, których ona znaczenia nie rozumie. Nic dziwnego, że pielenie wydało jej się czemś bardzo trudnem. Cóżby ona dała za to, aby choć jeden dzień móc spędzić bez opieki francuzki w tym ogródku, gdzie można błoto rozrabiać, ile dusza tylko zapagnie, gdzie krowy robi się z zielonych jabłek i patyczków, gdzie małe dzieci pracują i nawet umieją „pielić”...

Tak. Dziedzina ta wydała jej się krainą bajki, a Marcio jeżeli nie samym czarodziejem, to w każdym razie przynajmniej synem lub może jego jakim dalekim krewnym.

Przykro Hali było rozstać się z nowym znajomym, to też, gdy usłyszała głos bony, wołającej ją ku wyjściu, odpowiedziała, że zaraz idzie, lecz ociągała się ze spełnieniem polecenia francuzki i powoli szła środkiem obory, prowadząc za rączkę Marcia, przystając jednak przy niektórych przedstawicielkach holenderskiej rasy. Jedna, zwłaszcza, krowa zwróciła jej uwagę.

— Ta się dopiero objadła — zauważyła, stając przed krową o wielkim kałdunie i nabrzmiałych wyzionach.

— Ona się nazywa Krasula, — rzekł Marek i dodał: ta krowa się niedługo ocieli.

Ta uwaga malca niewiele ją objaśniła, lecz i tym razem nie uważała za stosowne takiego baka pytać o znaczenie słowa „ocielić się”. Zapamiętała sobie tylko ten wyraz, postanawiając się dowiedzieć o jego znaczeniu od kogoś ze starszych.

Marek ani myślał i nigdy się nie dowiedział jaki olbrzymi wpływ wywarła Krasula, oczywiście mimo woli, na jego losy. Dzieci rozstały się z uczuciem za-

wiązanej przyjaźni. Chłopiec, który z początku był onieśmielony towarzystwem jasnie panienki, czuł, że wziął nad nią górę i że jej zaimponował. Ona zaś, która zbliżała się doń z bezwzględnem uczuciem wyższości, starych, która na powitanie pogłaskała Marka protekcyjnie pod brodę, zachowała w głębi swej duszyczki poczucie poddania się jaźni tego malca i ubóstwa wobec niego swojego światopoglądu.

Marek potem często myślał o Hali, porównywał ją najczęściej z towarzyszami i towarzyszkami swych zabaw zwykłych, z dziećmi parobków, lokaj i trzebież przyznać, że porównania te niezupełnie wypadały na korzyść księżniczki.

Cóż taka? Nic nie wie, nic nie rozumie. Pewnie wolniej nawet od Marka biega, choć jest większa.

Parę dni upłynęło od czasu spotkania się dzieci w oborze, gdy Marek przez szparę w parkanie zauważył spacerującą w książęcym parku francuzkę z guwernerem, a przed nimi pchającą wózek z lalką, małą Hala. Dwoje pedagogów doszedłszy na parę kroków do parkanu, zawrócili w aleję, prowadzącą do pałacu nie zwróciwszy snąć uwagi, iż powierzona opiece bont Hala została na chwilę w tyle, zajęta prawdopodobnie uspokajaniem rozkapryszonej lalki.

Markowi serce żywiej zabiło i bez namysłu syknął na księżniczkę przez szparę w parkanie w ten sposób, jak to nieraz jego ojciec nawoływał parobków.

Hala się rozejrzała na wszystkie strony swemi olbrzymiemi oczami.

Marek znów syknął, a potem szeptem zawołał ją po imieniu.

Hala podeszła do szpary w płocie.

Zerknęła jednym okiem i spytała:

— Kto to?

— To ja, Marcio, co to w oborze był z mamą swoją, — odparł chłopak.

— Acha... — uradowała się Hala. Ach jakżeby chciała choć na chwilę znaleźć się w tym małym ogródku, który był tem zaczarowanym królestwem Marcia od rządców.

— Wejdz tu do mnie, do parku! — zaproponowała.

— Ba, ale jak.

Okazało się, że deski były przybite od strony Marka i chociaż właśnie ta jedna ruszała się jak klawisz fortepianu, ale oderwać jej od tamtej strony było niepodobieństwem. Ba, gdyby Marek był z przeciwnej strony, to popchnąwszy porządnie deskę, umożliwiłby tak nieznacznej objętości osóbcie jak jego, lub jego towarzyszkę przejście z jednej strony parkanu na drugą.

— Trzeba z tamtej strony mocno pchać tę deskę... — zawyrokował, nie śmiąc księżniczkę tykać.

Hala i tak zrozumiała, że była to z jego strony delikatna propozycja wzięcia udziału w przestępstwie przewidzianem pałacowym kodeksem karnym dla niegrzecznych dzieci i nie namyślając się ani chwili, pchnęła deskę i przez utworzoną w ten sposób szczelinę zręcznie przecisnęła się do ogródka.

Chwilkę patrzyli na siebie, jakby badając się na nowym gruncie, ale wnet księżniczka przerwała milczenie:

— No, gdzież masz to błoto, gdzie są krowy z jałtek, gdzie budynki swojej roboty, nie ze sklepu z zabawkami?

— To wszystko można zrobić, ale nie zaraz... — odpowiedział Marek.

Hala skrzywiła się na tę jego odpowiedź, a potem rozejrzała się po szczupłym ogródku.

— Jak tu ciasno... — zauważyła. — Żebyś zobaczył nasz ogród...

— Oho, tam jest jeszcze więcej miejsca, — odparł chłopiec.

— Gdzie? — spytała ciekawska i Marek wypro-
wadził ją na drugą stronę ogródka, na stok góry, ska-
rozprzestrzeniał się szeroki pejzaż.

Ten widok na Hali zrobił duże wrażenie. Uznał
w myśli, że Marek władał znacznie obszerniejszem
od niej horyzontami. Jej park wydał się jej niewola-
Wien ten pięcioletni berbecz mógł napawać się każde-
chwili tym upajającym widokiem, mógł chodzić na
wszystkie strony, biegać z górki na pazurki z tej uro-
czej wysokości, podczas gdy ona zamknięta była stała
w ciasnym kwadracie parku i tylko rzadki wyjazd
powozem pozwalał jej zerknąć na szeroki świat.
Chcąc choć teraz użyć swobody, schwyciła malca za
rękę i zbiegła z nim zwinnie z górki.

Dzieci znalazły się na łące.

Z rozpędu nie mogły odrazu się zatrzymać i zna-
lazły się w bliskości pasących się krów. Księżniczka
się przelękała, gdyż pierwszy raz widziała te roga-
stworzenia na wolności i nie uwiązane do żłobu na
łańcuszkach, ale widząc, że Marek chcąc pochwalić
się swą odwagą, złapał jedną krowę za ogon, wnet
oswoiła się z tem towarzystwem. Ujrzała tam i gę-
siedzi, które pasła jakaś dziewczynina. Kręciło się tam kil-
koro dzieci, najwidoczniej zabawiały się w coś.

Co one tam robią? Hala i Marek zbliżyli się do
gromadki dzieci.

Okazało się, że ta bosa gromadka zabawiała się
w „państwo, co idzie do kościoła”.

Wszystkie bachory miały parasolki i z niemi na
głowami spacerowały po łące.

Co za pomysłowość? Hala była zachwycona. Te
parasolki były zupełnie swojej roboty. Dzieci patyka-
wetknęły w wysuszone krowie łajna, obficie tu, na łące
w kształcie szerokich placków rozrzucone i nosiły je
na tych patykach nad głową. Widząc zachwyty księ-
niczki, Marek zaraz sprokurował jej taką parasolkę.

a ona przypomniawszy sobie niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, pozostając tak długo zdala od swej francuzki, — pobiegła pod górę wraz ze swą oryginalną parasolką.

Chociaż i kwadrans nie upłynął od czasu tej eskapady, lecz bona już była zauważyła nieobecność Hali. Student pobiegł w jedną stronę parku, a francuzka w drugą, szukać drogocennej zguby. Guwerner miał wyrzuty sumienia, emablując bonę, stał się przyczyną zagubienia się gdzieś małej księżniczki.

Już oboje zrozpaczeni, byli zdecydowani iść do pałacu i zameldować księżnej, że Hala gdzieś przepadła, jak kamień w wodę, gdy francuzka oczami pełnemi już łez ze zdenerwowania uirzała Halę idącą poważnie pod rodzajem parasolki, koło oszklonego ganku, przed którym w swym wózku właśnie wygrzewał się na słońcu stary książę, słuchając swej synowej, czytającej dzienniki.

— Co ona tam niesie? — zapytał księżnej stary gdera, przysyłając oczy od słońca.

Księżna podniosła oczy od gazetv, lecz zdala nie mogła określić, coby to być mogło. Hala, widząc, że jest obserwowana przez starszych, zbliżyła się pośpiesznie, aby móc pochwalić się nowym wynalazkiem chłopskich dzieci.

Matka nie chciała wierzyć swoim oczom.

— Co to jest? Halu, fu! Skądżeś ty to wzięła? Fi donc!

Wyrwała z obrzydzeniem z rak córki łajno krowie na patyku i rzuciła precz od siebie na ziemię.

— Co to takiego? — zapytał już porywczo starzec.

— Nic, nic — niech papa lepiej się nie pyta — prosiła wzburzona jeszcze księżna.

— Cóż to? Czy ja jestem małe dziecko, żeby coś przede mną ukrywać — krzyknął już zirytowany

gwałtownik, starając się jednak mitygować, jak to zresztą zwykle był czynił wobec swej synowej.

Mimo to księżna nic nie odpowiedziała, gdyż po prostu nie wiedziała, jakimi słowami określić teściowi przedmiot, który księżniczka przed chwilą piastowała w swej małej rączce.

Stary książę już zaczął nerwowo szarpać zawieszego wasa, gdy Hala, która wogóle była najodważniejszą wobec dziadka, pośpieszyła z odpowiedzią:

— To... parasolka.

— Jaka znów parasolka? — krzyknął książę.

Przez ten czas księżna zadzwoniła w srebrny dzwonek, stojący na stoliku obok wózka paralityka i poleciła kamerdynerowi, który właśnie nadbiegł, ową „parasolkę” wynieść natychmiast gdzieś do śmietnika.

Stary książę zaczął się już trząść z irytacji i wytrzeszczać swe olbrzymie oczy. Jednem skinieniem zakrzywionego palca przywołał lokaja z krowiem łajnem na śmietniczce do siebie. Dotknął palcem nieznanego przedmiotu, mimo protestów synowej i nachylił się, aby lepiej rozejrzeć.

Poznał.

— Skąd się to, do diabła, wzięło w parku?! — zaryczał w przystępie istnego szału.

Księżna sama była w zdumieniu, gdzie księżniczka zaopatrzyła się w krowi nawóz, a zwłaszcza w jaki sposób wpadła na dziki pomysł zastosowania go jako osłony od słońca jej arystokratycznego liczka, więc dopyttywała Hali i nie odpowiadała grzmiącemu despicie.

Paralityk kazał już wołać do siebie ogrodnika, stróżów; lokaj już pobiegł z tymi rozkazami, a stary książę sapął, jak raniony dzik.

Hala płatała się przed mamą w swych zeznaniach i zwłaszcza, gdy starzec przywołał obie ku so-

bie, jak mówił, aby na boku nie spiskowały przed nim w sekrecie — całą winę zwała małodusznie na Marka. On ją namówił do złamania płotu, on ją wciągnął do ogródka rządcy i nareszcie on zaprowadził ją przymocą na łąkę, gdzie było mnóstwo takich parasolek.

Cóż to za Marek? Skąd ta znajomość? Stary książę zdziwił się niepomniernie znajomościom Hali poza plecami starszych.

Stary się irytował, opluwał swe długie wąsiska, ale i księżna była bardzo niezadowolona z postępowania swej jedynaczki.

— Masz braciszka, możesz się z nim bawić. Marcio, nie dla ciebie towarzystwo.

Hala wykrzywiła już buzię w podkówkę i miała serdeczny zamiar się rozplakać, ale jeszcze się wstrzymała i odrzekła:

— Ii... Adolfeł taki nudny...

W tym momencie, starzec, całą posiadaną jeszcze siłą, rzucił się ciałem naprzód i schwycił małe różowe uszko księżniczki w swe szpony. Miętosił to uszko nielitościwie i zgrzytał straszliwie resztką swego uzębienia.

Hala darła się już w niebogłosa, księżna starała się ją uwolnić i jakimiś tam słowami bez związku uspakajała szal księcia. Przez ten czas już zbiegła się służba z ogrodnikiem na czele i w kornych postawach z drzeniem widocznem łydek czekali, rychło ten gniew księcia zwróci się całą siłą w ich stronę.

Po chwili księżna oderwała córkę od dziadka i uprowadziła ją w głąb pałacu, a książę zwrócił mimowoli uwagę na ogrodnika z całym zastępem pomocników i dziewcząt oraz stróżów.

— Ha! — wrzasnął, zwracając swe straszne wejście na Bogu ducha winnych.

— Przyszliście napawać się widokiem, jak mnie tu przez was żółć zalewa.

Wściekły starzec już wiedział, że parasolka Hali nie była pochodzenia parkowego, więc nie miał z czem się przyczepić do ogrodnika. Dlatego besztanie przerażonej gromadki było ogólne, codzienne, bez wyrażenia specjalnego celu zwołania ich przed oblicze Jowisza.

— Ja tu was darmo żywię?! Żmije na własnej piersi hodowane! Bestje apokaliptyczne. Czego tu stoicie?! Precz z moich oczu!

A gdy się nie ruszyli, bo, wszak byli przywołani tu przez jaśnie oświeconego księcia pana, ten ostatni wrzasnął swym jeszcze dość potężnym głosem.

— Słyszeliście!? Precz!

Ogrodnik skłonił się nisko zdaleka ksieciu a cała gromadka poszła za jego przykładem. Odchodząc, ogrodnik ośmielił się odezwać: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Stary mazur znał psychologię swego pana i wiedział, że na to pozdrowienie, dziedzic odpowiedzieć musi obowiązkowo, a odpowiedź musi być łagodniejszą tonem wypowiedziana, niż cała do nich przemowa, poczem już mimo woli nastąpi uspokojenie rozigranych nerwów raptusa.

— Na wieki wieków. Amen. — odpowiedział, mitygując swój gniew księżę, poczem gromadka pracowników ogrodu szybko usunęła się z oblicza pałacu.

Nie koniec jednak dziś był irytacji starego księcia. Podczas kolacji przy stole rozmawiano o chorobie racic, jaka padła na oborę w Rosochach. Hala zdecydowała ten moment za najodpowiedniejszy do zapytania się, co to znaczy „ocielić się“, bez odbiegania od ogólnego tematu rozmowy.

Gdy spytała, francuzka o mały włos nie zatkała jej swą dłonią buzi, lecz było już za późno: fatalny wyraz uleciał i jak iskra rozpętał burzę naokoło głowy Hali i Marka.

Dowiedziano się, że znów od nieszczęsnego Marka usłyszała to brzydkie słowo. Ależ to istny szatan, dybiący na niewinność małych księżniczek ten Marek Fiukalski.

A więc w jakiś niepojęty sposób Hala się stale z nim widuje, z tym młodszym od siebie o trzy lata, który jednak jest już tak przewrotny, zepsuty i bezwstydnym wobec siedmioletniej dziewczynki.

Gdy dzieci tym razem wcześniej odprawiono do dzieciennych pokoi, w jadalni rozpoczęła się rada rodzinna.

— Ja nie znoszę oficjalistów żonatych, jutro oddalisz Fiukalskich, żeby dymu, popiołu po nich tu nie było. — Mówił stary do swego syna, który nie śmiał tak odrazu ojcu oponować, ale znać było, że nie jest za tak niesprawiedliwym rozwiązaniem kwestji.

Dostało się i księżnej, że zabawiło ją swatanie i kontenta była ze ślubu guwernantki z rządcą, a teraz ma z tego skutki.

— Taki łajdak wprost tendencyjnie brudzi duszę małej Hali...

Tu już młodszy książę nie miał sił się powstrzymać, aby nie zauważyć:

— Ależ, ojcze, on ma coś cztery lata...

Zaległa chwila milczenia.

Księżnej zdawało się, że już czas, aby ona ze swą praktycznością kobiecą postawiła swój projekt załatwienia całej sprawy. Zaczęła tłumaczyć panom, jednak specjalnie zwracając się do teścia, że Hala jest jeszcze dzieckiem i że krzywda jej się wielka, Chwała Bogu, nie stała; że raczej Marcia należy załować, iż bez opieki wałęsa się po stajniach i Bóg wie nie gdzie, za towarzystwo ma dzieci parobków i jest to nie jego wina, lecz raczej jego nieszczęściem.

— Ja uważam sobie za moralny obowiązek otaczać opieką jego rozwój moralny i umysłowy. Dzi-

siejsze wypadki otworzyły mi oczy na moje nowe obowiązki. Pod moją protekcją zawiązało się to małżeństwo i ten malec ma prawo do pewnej troskliwości z mojej strony.

— Niepotrzebnie wogóle zanadto tę hołotę zbliżasz do siebie — zawyrokował stary książę — i tuż są skutki. Ot co. Cóż więc proponujesz. Radbym coś konkretnego usłyszeć.

Projekt księżnej okazał się prosty: otoczyć chłopca opieką, zająć się jego wykształceniem, odsunąć go od zgubnych wpływów dotychczasowych towarzyszków zabaw. Dlatego należy go przenieść do pałacu, gdzie Fiukalscy nawet rzadko tylko go będą odwiedzali, zapewnić mu opiekę, naukę aż do zajęcia jakiegoś stanowiska, które pozwoli mu się samemu utrzymać i ocenić wtedy wielkoduszność swych dobroczyńców.

Po dość długiem rozpatrywaniu tego projektu stanęło na tem, że Marka się wprost zabierze rodzicom, gdyż nie potrafią oni zapewnić mu należytej opieki, co powinno być przyjęte ze strony Fiukalskich, jako nowy objaw łaski księżęcej.

.....

Nową awanturą przy stole podczas kolacji cała służba w kredensie była oczywiście poruszona. Zaraz też kamerdyner pobiegł opowiedzieć Fiukalskim, ile to ich czteroletni syn narobił zamieszania w pałacu. Rozpacz Fiukalskich, gdy się dowiedzieli o tem, nie miała granic. Rządca radził się, pełen zakłopotania, kamerdynera, co mu teraz począć wypada i wyrzekał boleśnie na niewdzięczność dzieci.

— Dali mu tyle zabawek, tyle pieluch, tyle wszystkiego, a ten... panie dobrodzieju... tego... o...

Matka delikwenta siedziała teraz w skupieniu i wyrzuty sobie robiła, iż za mało osobiście otaczała

swego jedynaka opieką. Postanowiła sobie święcie ani na krok nie puszczać malca od swej spódnicy, choć czuła, że wszystko to już za późno.

Ich domek od dziś — to wyspa trędowatych.

A może...

A może ich usuną z posady.

Pani Fiukalska z przestachem spojrzała na zafrasowaną twarz męża.

— A możebyśmy mimo wszystko ucięli sobie partyjkę kiksa? — przerwał to jej rozmyślanie kamerdyner.

Usłużnie podała im karty i postawiła dwa kieliszki oraz wiśniówkę swojej roboty, gdyż знаła zwyczaj tych dwóch panów.

Dziś była tu gęsta ręka. Kieliszek za kieliszkiem wychylano, co było skutkiem rzetelnego frasunku gospodarza domu.

Wreszcie, gdy butelka już była pusta, kamerdyner poszedł trochę się zataczając, a Fiukalski jeszcze nie zabierał się do spania, lecz mruczał coś niezrozumiale pod nosem i uderzał cicho, lecz mocno pięścią w stół.

Kładł się wreszcie spać jak mógł najciszej, aby żony nie obudzić, ale zdjawszy but z lewej nogi zapewne niechcący, odrzucając go od siebie, trafił nim w kołyskę śpiącego Marka. Ten odrazu zaczął głośno lamentować, obudzony tak nagle ze snu. Tu przebrała już się miarka cierpliwości ojca i tego syna, który tyle narobił mu strapienia, wytrzepał porządnie swą wciętą dłonią. Marek przytem słyszał jakieś niewyraźne wymówki ojca, skierowane do Marka, że krowy dworskie nawóz po łąkach roznoszą, że któraś krowa ma się wkrótce ocielić. Uspokojony wreszcie z trudem przez mamusię, zaczął zasypiać powoli, nie pojmując zgoła, dlaczego tatuś ma doń pretensje, że krowy są cielne, a nie do buhaja.

Adolfek czytał „chatę wuja Toma“, a Hala i Marcio słuchali.

Było to pod olbrzymim kasztanem, który rósł w parku blisko pałacu.

Guwernantka zrazu robiła robotę dwiema rękami, lecz wkrótce przestała, gdyż jedną ręką była to oczywista niemożliwość, a tymczasem lewą zajął niepodzielnie guwerner Adolfka, trzymając ją w swej prawej pod stołem. Patrzyli sobie oprócz tego w oczy i zdawali się przysłuchiwać czytaniu Adolfka.

Wzruszająca to powieść ta „Chata wuja Toma“ i mało znajdzie się zapewne ludzi na kuli ziemskiej, którzy jako dzieci nie wylewali szczyrych łez nad niedolą pocziwego wuja Toma, lub niewolnicy, której dziecko odrywają przemocą i sprzedają w inne strony.

Właśnie Adolfek czytał to miejsce, kiedy to matce rozdziera się serce, gdy musi oddać swe dziecko na sprzedaż.

Hala ocierała swe oczki chusteczką, a guwerner ze wzruszeniem mocniej ścisnął rączkę francuzki. Francuzka zwróciła się do niego i szeptem mówiła mu o tem, że dziś niewolnictwo istnieje w dalszym ciągu, choć przyjęto inne formy.

Francuzka dostała porządną burę za niedbałe pilnowanie księżniczki, to też czuła od tego czasu anse do całego pałacu a zwłaszcza do starego księcia. Krytykowała zawzięcie wszelkie zarządzenia pałacowe, co dla niej było możliwe obecnie tylko wobec guwenera od czasu, gdy z Fiukalską zabroniono się jej widywać. Student przytaknął jej poglądom. Patrzyli teraz oboje na Marka, który niewiele rozumiał z powieści i bawił się patyczkami na kamiennym stole, myśląc, o ile piękniej się jest bawić patyczkami na ziemi, ale teraz już mu tego nie wolno.

Student szeptał francuzce:

— Spojrzeć na to dziecko: wyrwany z domu rodzicielskiego, przez fantazję despoty przeflancowany w obcy grunt, w inne otoczenie; rodzicom prawie że zabroniono go widywać. O tak, ma pani rację. Nie-wolnictwo, handel duszami.

.

Marek nie jest zadowolony ze zmiany, jaka zaśła w jego życiu. Naprzód zabrakło mu nagle swobody. Każdy jego krok śledzą, zresztą nie miałby odwagi zrobić coś samodzielnie i bez zapytania się starszych, czy wolno. Następnie towarzystwo dawne te Maćki, Bartki, Jaśki, było bez porównania zabawniejsze od dzisiejszego. Tam płatano coraz to nowe figle, wymyślano coraz to nowe zabawy, gdy tu wszystko jest określone dziennym planem, niema nic przypadkowego, nic niespodziewanego...

To też Marek tęsknił do swoich dawnych rówieśników, do małego ogródka, do Klamki, który już teraz siedział, biedak, w budzie, uwiązany na łańcuchu, wreszcie do dobrej swej mamy, z którą tak rzadko teraz się widywał.

Odczuwać już teraz zaczął ten drugi plan swego stanowiska w pałacu. Nie zdawał jeszcze sobie dokładnie sprawy na czem to polega, ale uczuwał żal, sam nie wiedział do kogo, za tę rolę, jaką tu musiał odgrywać. Dopiero teraz zaczęły kielkować w jego duszy pierwsze chwasty zawiści, zazdrości i upokorzonej dumy.

Najmniejsze pierwszeństwo okazane przez lokaja czy stangreta, czy też bonę Adolfkowi, napawało Marka wewnętrznym bólem, z którego, jak na dziecko, dość długo nie mógł się otrząsnąć.

Dzieci bawiły się w konie. Mały książę był oczywiście furmanem, zaś Marek, choć niechętnie, koniem. Hala odsunięta była od tej zabawy, gdyż raz, dostawszy zbyt naturalistyczne uderzenie batem po łydeczkach od Adolfska, straciła nagle dziecięcą fantazję, iż jest koniem, i zmieniła się w zwykłą, płaczącą dziewczynkę.

Adolfek zawyrokował, że Hala nie umie się bawić i, że nigdy z nią się bawić nie będzie. Marek już zrozumiał, że ciężko jest się tu sprzeciwiać woli Adolfska i choć wołał towarzystwo Hali, której przy bliższem poznaniu jakoś nie przestał dotąd imponować, jednak posłusznie wierzgał nogami i rżał, jak umiał najlepiej. Hala wodziła swemi błękitnymi oczkami za biegającymi chłopcami i nudziła się.

Bona w tej chwili najwyraźniej starała się pozbyć Hali, gdyż wiodła jakąś dysputę szeptem z guvernerem Adolfska w oddalanej altance.

Marek, widząc swą małą przyjaciółkę, obserwującą ich zdaleka, zatrzymał się i zaproponował Adolfskowi, aby wprząc do tego wehikułu jeszcze kłacz do pary, gdyż samemu ciężko mu już ciągnąć. Adolfek kazał mu nie zawracać sobie głowy, gdyż wie najlepiej co ma robić i smagnął go bacikiem po majtkach.

— Jeżeli tak, to Adolfek ze swoim powozem zostanie sam na środku drogi — odparł obrażony koń i zdjął ze siebie lejce.

Adolfek się zaczerwienił. Niedarmo płynęła w nim krew dziadka. Chlasnął go bacikiem przez policzek. Marek oblał się ponsem, potem zbladł i zasyczał przez zęby:

— Idź precz!

Upór Marka stawał się nieznośnym dla małego

despoty, uczuł potrzebę zgnicenia jego samodzielności.

— Bierz lejce i jazda — krzyknął, ledwie panując nad sobą.

— Mnie nikt nie ma prawa rozkazywać! — zawyrokował Marek i spojrzał w oczy Hali.

Hala, oczywiście, stanęła po stronie Marka i łagodnie prosiła Adolfa, aby poszedł w swoją stronę.

— Tu wszędzie jest moja strona! — krzyknął dumnie Adolf.

Markowi bezwiednie przyszedł rym do głowy, który słyszał nieraz wśród chłopskich dzieci.

— Książę, co psy wiąże.

— Coś ty powiedział?! Coś ty powiedział?! — krzyknął zaperzony Adolf.

Marek przezornie cofał się; Hala wysunęła się naprzód i starała się rozdzielić dwóch zacietrizwionych chłopców, ale mały książę odepchnął ją i z całych sił zaczął bacikiem zadawać bolesne razy krnąbrnemu Markowi.

Hala zaczęła płakać.

Marek, widząc swe upokorzenie, wstyd dławiący go spotęgowany obecnością dziewczynki, w której dotąd odczuwał istotę, której imponował pod niektórymi względami — stracił cierpliwość. Tak, jak nieraz widział ojca bijącego parobków pięścią po głowie, odwinął się i grzmotnął napastnika z całych sił w twarz.

Adolf, choć znacznie starszy, zaczął płakać tak głośno, aby cały pałac uwiadomić o zajściu. Wkrótce cała sprawa oparła się o ojca, matkę i najwyższą instancję pałacową, dziadka.

Marek był przybity, zgębiony i już zrezygnowany na wszystko.

Wszyscy naokoło drżeli, wpatrując się w nerwowo drgającą twarz starego księcia, który słuchał

opowiadania Adolfa, jak od Marka dostał pięścią w twarz i jeszcze krew mu z dziąsła płynie.

— Co?! Ten przybłęda... ośmielił się... mojego wnuka, mojego potomka...

Krzaczaste brwi poruszyły się w górę i nadół, to samo wąsy. Stary książę kiwnął swym zakrzywionym palcem na winowajcę. Marek ani drgnął.

— Tu!! — zasyczał książę i wskazał palcem u swoich nóg.

I tym razem Marek się nie ruszył. Usłużny kamerdynier ujął go pod pachy i delikatnie popychał ku wózkowi paralityka. Marek oparł się z całych sił na nóżkach.

— Daj!! — krzyknął książę na lokaja i zrobił ruch ręką, z którego powinien być zrozumieć, aby oskarżonego położyć na kolanach księcia.

Adolfek natychmiast podał staremu dziecinną szpicrutę, którą miał widać przezornie przygotowaną.

Nagle Marek zaczął się rozpaczliwie wyrywać lokajowi i z jego ust wyszły niespodziewane słowa:

— Ja... ja... ja także jestem człowiek!

Pierwszy raz to pojęcie zaświtało w jego głowie i pierwszy raz zrozumiał się człowiekiem.

Za chwilę człowiek leżał na kolanach księcia, smagany szpicrutą.

Hala płakała na uboczu; człowiek zgrzytał tylko ząbkami, zagryzał wargi do krwi i milczał.

Książę był jak w paroksyzmie szału. Zmęczył się i sapał, aż się zakastał. Nikt nie śmiał przerwać egzekucji.

Nagle, płacząca Hala podeszła do księcia, wspięła się na paluszki i swą maleńką rączką wstrzymała rązy, zasłaniając nią bitego. Starzec zmarszczył się, spojrzał na Halę, rzucił daleko od siebie narzędzie kaźni. Bardzo był zmęczony. Hala pocałowała dziad-

ka w rękę, on ją pogłaskał po główce, co go widocznie uspokoiło.

Marek, widząc się wolnym, porozpychał gapiów i w jednej chwili uciekł w ogród.

— On sobie jeszcze co zrobi, — zaniepokoiła się księżna.

Nim zaczęto poszukiwania w parku, Marek znikł, jak kamień w wodę.

Stary książę jeszcze raz miał paroksyzm irytacji, gdy kazał sobie zmieniać spodnie i tam dalej.

— To ten smarkacz ze strachu...

.....

Księżna wezwała rodziców Marka, z którymi miała długą rozmowę. Fiukalska zalewała się łzami nad tem, co zaszło i z obawy, co się stało z zaginionym synkiem. Poszukiwania do wieczora nie dały rezultatu. Wszyscy byli mocno zaniepokojeni, nie wyłączając Adolfa.

Hali ani bona, ani nawet mama nie mogła utulić w serdecznym płaczu.

Na rozkaz młodego księcia staw nawet spuszczo no i brony po dnie puszczo no, ale ciała nie znaleziono. Dopiero w nocy, gdy pan Fiukalski poszedł spuszczać Klamkę z łańcucha, znalazł „człowieka” w budzie zagrzebanego w słomie. Człowiek jeszcze raz dostał od ojca za uszy i po łbie, i został triumfalnie odprowadzony do pałacu.

Przy stole stary książę zawyrokował, że Marek jest zadatkem na niebezpiecznego człowieka.

VII.

Od tej pory dla Marka zaczęło się nieznośne życie. Małych książąt widywał tylko przy lekcjach, po-

czem musiał bawić się oddzielnie; niewolno mu było nawet zagadać do żadnego z dzieci.

Płynęły dni jednostajne, minęło lato i zaczęła się jesień. Dzieci na krótko wychodziły na spacer do parku. Całe dnie Marek przesiadywał w osobnym pokoju. Zima nie przyniosła urozmaicenia w jego jednostajnem życiu.

Hala, ta jedyna w pałacu istota, która najmniej obawiała się groźnego dziadka, nieraz zaczepiała Marka, wchodząc z nim w gawędkę.

Jeżeli zaś ktoś starszy tylko zauważył, wnet musiała odchodzić do innego pokoju.

Markiem wogóle mniej się opiekowano, z czego korzystał, wymykając się do ogrodu, gdzie czuł się swobodniej, niż w pałacu.

Z jednej takiej tajemnej wycieczki Marek wrócił trochę zaśnięzony, czerwony na policzkach, z roziskrzonymi oczami. Hala spotkała go w przedsionku. Poznała po nim, że używał jakichś niezwykłych wrażeń.

— Gdzieś ty był?

— Oho, nie mogę powiedzieć.

— Mnie, możesz powiedzieć, ja nie powiem nikomu.

Zrozumiał, że teraz trafia się sposobność zaimponowania swoją osobą tej dziewczynce, która, prawdopodobnie, już dawno przestała w nim widzieć coś nadzwyczajnego od czasu, gdy tak sromotnie dostał w skórę i jeszcze miał przytem taki przykry dziecienny wypadek na kolanach dziadka, co było długi czas ogólnem pośmiewiskiem.

Tajemniczo zaczął jej opowiadać, jakie on robił wycieczki sankami, jaka to rozkoszna rzecz czuć pełne powietrze, który aż dech zapiera.

Napróżno Hala dopytywała się, czy to konie, czy samochód — na ten raz Marek owinął się w tajem-

niczość, mówiąc, że to jego sekret i osobisty wynalazek.

Kroki czyjeś w sąsiednim pokoju przerwały tę interesującą rozmowę. Dzieci się rozbiegły.

Trucizna zakazanego owocu była już zaszczepiona w główce małej księżniczki, to też czyhała na sposobność nakłonienia Marka do dalszych zwierzeń.

Widząc, że ciekawość dziewczynki jest już rozpalona do czerwoności, Marek na jej nalegania, powiedział, że nie wyjawি jej nic więcej, lecz jeżeli ma odwagę wymknąć się pokryjomu z pałacu, to ją chętnie przewiezie.

Hala miała już swój rozumek i była na tyle spostrzegawczą, że zauważyła, iż wtedy najłatwiej jest się wymknąć z pod obserwacji bony, gdy ta jest zajęta rozmową z guwernerem.

Raz w niedzielę, gdy rodzice nawet ze starym księciem wybrali się do kościoła, położonego o jakie 500 kroków od pałacu, bona, jak zwykle, korzystając ze sposobności, wtuliła się w kąt kanapy z guwernerem przed kominkiem i zapomniała o bożym świecie.

Wtedy Hala jeszcze raz dla pewności zaczęła bonę, aby się z nią bawiła, lecz ta odparła dziewczynce, aby sama poszukała sobie rozrywki.

Hala zdecydowała, że najwyższy teraz czas na tajemną wycieczkę.

Dzieciaki poubierały się w ciepłe szubki i wybiegły skrycie z pałacu, trzymając się za ręce.

Marek za parkiem znalazł małe saneczki, zrobione własnoręcznie z dwóch kawałków desek, usadowił się z Halą na nich, kazał jej się mocno trzymać i zjechali jak wicher z góry, pokrytej śniegiem. Hala ze strachu wzięła go z całych sił za szyję i raz po raz całowała w zmarznięty policzek.

Zmęczeni kilkakrotną jazdą, a jeszcze bardziej wciąganiem saneczek na górę, wrócili do pałacu.

Hala położyła się na kanapce w dzieciennym pokoju, gdyż ją główka rozboleła. Marek usiadł przy niej, nie obawiając się teraz nikogo, gdyż i nieznośny Adolfeek był także w kościele.

Hala dostała gorączki, prosiła, aby ją Marek czem nakrył. Marek się przestraszył i prosił jej, aby nikomu nie mówiła o saneczkowaniu. Zakłęła się, jak mamusię kocha, że będzie to ich wyłączna tajemnica.

Poszedł zawiadomić francuzkę, że Hala jest słaba.

Gdy wszedł do pokoju, gdzie miał zastać bone, spostrzegł ją siedzącą na kanapie blisko, bardzo blisko guwenera.

Gdy zauważyli chłopca, zerwali się na równe nogi; guwerner szybkim krokiem oddalił się z pokoju, zaś francuzka, niewiedomo poco, wygładziła obiema dłońmi suknię na biodrach i udach.

Marek zakomunikował jej, że Hala jest niedzrowa.

Ona patrzyła na chłopca jakimiś głupimi, zamglonemi oczami i najwyraźniej nie słyszała, czy nie rozumiała, co ten do niej gada.

Nagle wzięła Marka na rękę i zaczęła go czule całować.

On zgłupiał, nie wiedząc, skąd się jej wzięła ta nagła czułość i trochę bronił się jej natarczywością.

Ona puściła go wreszcie na ziemię, patrząc na niego ciągle; potem postawiła nogę na krzesełku z jakimś leniwem przeginaniem się, jakby bliska omdlenia, podniosła suknię za kolano i zaczęła sobie podwiązkę poprawiać, przyczem z pod oka obserwowała Marka. Marek oglądał ciekawie subtelne koronki, które pierwszy raz widział i powtórzył jeszcze raz, żeby francuzka udała się do Hali. Francuzka zaśmiała się jakoś nieswojo i, wskazując palcem miejsce na

nodze nad kolanem, wolne od pończochy, szepnęła:

— Marciu, pocałuj tu, o tu...

— A tam... — odpowiedział pogardliwie malec, wydawszy usta i wyszedł z pokoju.

Mała księżniczka na dobre się rozchorowała.

Zapalenie płuc.

Aż z Warszawy na konsylium zjeżdżali lekarze.

Choroba była długa i uporczywa.

Marka trapiły wyrzuty sumienia, Zdawało mu się, że powinien wyznać, iż to on ją zaziębił, że to z jego winy to biedactwo leży i cierpi.

Zastanawiał się jednak, że przecież i Hala byłaby odpowiedzialna za tak zuchwałe nieposłuszeństwo, a więc, że jest to tajemnica, nie należąca wyłącznie do niego, zatem nie może nią sam rozporządzać.

Przytem mściwy gniew, który taitł w sobie do starego księcia, wcale nie zmałał. Marek wyobrażał sobie, że, wydając tajemnicę, da znów w rękę groźnemu starcowi sposobność pastwienia się nad nim, który wszak także jest „człowiekiem”.

O, nie zniósłby raz jeszcze tego poniżenia, tego wstydu wobec wszystkich.

Gdy myślał o tych rzeczach, majaczyły mu się różne sposoby zemsty nad tym paralitykiem, którego tak serdecznie nienawidził. Co mu też do głowy nie przychodziło: to przysunąć wózek do kominka tak blisko, aby się zajął i spalił ten nieznośny starzec, to znów, gdy nie będzie nikogo blisko, wziąć długi bat i osmagać go bezbronnego bez litości.

Cóż to byłaby za rozkoszna zemsta!

Hala powoli zaczęła przychodzić do siebie i coraz częściej zostawiano ją w łóżeczku bez opieki.

W pewnym momencie Marek skorzystał, iż droga do pokoju chorej była wolna i wtargnął tam pocichutku.

Hala leżała z zamkniętymi oczkami, przykryta różową kołderką.

Marek na palcach podszedł do niej i szepnął:
— Hala.

Leniwie otworzyła swe wielkie, błękitne oczy i spojrzała radośnie na towarzysza psot.

Podawała mu rączkę pogłaskała go po włosach. Zawsze go uważała za młodszego od siebie o trzy lata, choć jej pod wieloma względami imponował.

Po długim niewidzeniu obserwowali się jakiś czas nawzajem, a potem dopiero zaczęli rozmowę.

— Już nigdy cię nie zaprowadzę na saneczki.

— Tak, ja jestem chorowita, już teraz będziesz się sam woził z górki na pazurki sankami.

— O, nie, zakląłem się na mamę, że i sam więcej nie dotknę się tych wstrętnych sanek. Zaziębiłaś się i tyle.

— Tak. Doktorzy mówili, że jestem bardzo chorowita i trzeba na mnie uważać.

— O, ja będę na ciebie uważał.

Hala uśmiechnęła się pobłażliwie i spojrzała mu w oczy. W jej głowce powstała myśl, jaki ten Marek dziecinny, a mimo to, jest taki interesujący dla dziesięcioletniej, a więc o trzy lata od niego starszej, pannenki. Zawsze coś wynajdzie niezwykłego, co tak potrafi rozerwać jednostajność życia w pałacu.

Marek, na pewno, nie domyślał się tych refleksji rekonwalescentki, a sam, patrząc w jej ciekawe, błękitne oczęta, myślał sobie, jaka ta mała księżniczka jest inna, niż wszyscy „pałacowi ludzie”. I powtórzył jeszcze raz z głębokim przekonaniem:

— O, ja będę na ciebie uważał.

Księżniczka jeszcze raz się uśmiechnęła, pogłaskała go protekcjonalnie po głowie i zawyrokowała:

— Oj, ty dzieciaku.

— Któż może tu na ciebie uważać? Tylko ja.

— Dlaczego? A mama, bona, dziadzius?

— Oni wszyscy mają swoje zajęcia, a ja nic nie mam do roboty, tylko mogę uważać na ciebie, bo jesteś chorowita.

— Przecież bona jest tylko do mnie. — Roześmiała się Hala z pewną dumą dziecinną, że ma kogoś specjalnie dla siebie; ale Marek i tym razem nie przyznał jej racji.

— Bona uważa więcej na guwernera Adolfa, choć on nie jest chorowity, niż na ciebie.

Po chwili namysłu zaczął znów mówić:

— Widzisz, każdy za kimś chodzi i na kogoś uważa: jaśnie księżna pani za księciem, moja mama za moim tatą, to już tak jest.

— A dziadzius?

— Starszy jaśnie książę, to na wszystkich znów uważa, bo do wszystkich się wtrąca. Czy ty lubisz swojego dziadziusia?

— Naturalnie — odrzekła Hala z przekonaniem.

— Ja nie mam nikogo. Z mamą się nie spotykam. Tylko mam ciebie do uważania.

— Przecież ty za mały, coś ty mi poradzisz?

— To już moja rzecz. Ja mam jeszcze jednego wielkiego przyjaciela. Widuję się z nim też pokrywom, jak i z tobą.

— Któż to taki?

— Nie mogę powiedzieć, to sekret.

— Marek, powiedz...

— Nie, nie mogę. Może kiedyś, jak już całkiem wyzdrowiejesz, to ci powiem.

— I zapoznasz mnie z nim?

— I zapoznam. On będzie družbą na naszym ślubie.

— Na czym?

— Na naszym: moim i twoim.

— To ja mam się z tobą ożenić?

— No.

Hala się głęboko zastanowiła. Co za nowe rzeczy wymyślał ten chłopak? Jak nowemi myślami zaplaśniał jej mózgownicę? Po chwili milczenia Hala odezwała się:

— Jeszcze jesteśmy mali, szczególnie ty. To jeszcze tak daleko do tego ślubu, że chyba nie dożyjemy tego.

— Jak tylko będzie ciepło, to będzie nasz ślub.

— Mnie musi biskup ślub dawać.

— Oho, to niemożliwe. Nasz ślub będzie pokryjomu, tylko z jednym świadkiem.

— Jakże to?

— Zobaczysz.

— E, nic nie chcesz teraz powiedzieć. Albo kłamiesz, albo żartujesz sobie ze mnie.

— Jak mamusię kocham, mówię prawdę.

— Przecież my za mali.

— Dłużej już nie można czekać.

— Dlaczego?

— Każdy ma swoją, a ja nie mam nikogo.

— Jakto? Gdzie?

— Byk ma krowę...

— A ma.

— Ogier ma kobyłę...

— Ma.

— A widzisz.

— A mucha co ma?

— Mucha? Komara.

— A pszczoła?

— Baka. Wszyscy kogoś mają.

— Jak to jest... no, no... — zastanawiała się dziewczynka.

— To już tak jest wszędzie... — dodał sentencjonalnie Marek.

Hala widać w myśli łączyła w pary różne gatunki znanych jej zwierząt, gdyż po chwili zwróciła się do Marka z jeszcze jedną wątpliwością:

— A wół?

— Wół ma wołowinę — odparł Marek bez namysłu.

W tej chwili ozwały się janczarki przed gankiem i Marek musiał przerwać tę interesującą rozmowę i czmychnął, aby go kto nie zauważył.

.

Hala nigdy się nie dowiedziała, jakiego Marek tego czasu użył względem niej podstęp. Pomny bajki Andersena o księżniczce na ziarnku grochu, postanowił się przekonać, czy Hala jest prawdziwą księżniczką i podczas rozmowy z chorą dziewczynką nieznacznie wsunął jej pod materac ziarnko grochu.

Z niecierpliwością czekał drugiego dnia i rezultatu tej próby.

VIII.

Hala tej nocy długo nie mogła zasnąć. Przetrwała w swej główce te wszystkie dziwne rzeczy, a nadewszystko myślała o swym przyszłym ślubie. Zastanawiała się głęboko, czyby nie zawiadomić już mamy o mającem odbyć się wrótce weselu. Zasnęła wreszcie i przyśniły jej się uroczyste zaślubiny. Ona była w srebrzystym welonie, Marek w białym ubran-

ku, mnóstwo karet, zaprzężonych w czwórki cugowych koni. Stangreci pukali z batów, a najgłośniej Seweryn, który powoził kareta państwa młodych. Nagle naprzeciw ich karety ukazał się wózek paralityczny z dziadkiem, również zaprzężony w czwórkę koni. Dziadek sam powoził, najechał na ich kareta, która się wywróciła. Dziadek schwytał Marka za włosy, wyrwał czterokonny bat Sewerynowi i zaczął nim batożyć pana młodego, podczas czego pan młody krzyczał, że także jest człowiekiem.

Panna młoda rozplakała się boleśnie przez sen, aż ją bona obudziła.

Potem długo mała nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok. Ale bo też miała setne wątpliwości. Naprzód sen ją przestraszył, potem wahała się, komu się zwierzyć ze swego postanowienia. Przecież trzeba było na gwałt szykować wyprawę. Z trudem wreszcie zasnęła, postanowiwszy się przedtem poradzić Marka, lub jego tajemniczego przyjaciela, z którym ją obiecał przy sposobności zapoznać.

.

Na drugi dzień Markowi obilo się o uszy, że księżniczka źle spała.

— Acha, moje ziarnko grochu — pomyślał sobie i już był przekonany święcie, że Hala jest najprawdziwszą księżniczką.

Przed wieczorem tego dnia znalazł moment, aby wśliznąć się do pokoju chorej i wyjąć ten groch — narzędzie tortur.

— Marku, ja nie mam wyprawy — zaczęła go zaraz Hala, gdy się tylko zjawił.

Marek nie odrazu zrozumiał, o co jej idzie, ale gdy mu rozszerzyła swą myśl, zapewnił ją, że to zupełnie zbyteczne i nie potrzebuje się radzić swego

przyjaciela, bo on zawsze się z nim na wszystko zgadza.

Do pokoju dolatywały zdala przytłumione tony fortepianu. Dzieci słuchały i milczały. Po chwili dopiero odezwała się Hala:

— Żebyś ty wiedział, jak ja umiem pięknie grać na fortepianie.

— E, same gamy: la-la-la-la... — odrzekł pogardliwie Marek.

— Ba, bo mnie bona nie pozwalała nic innego grać, ale ja umiem jeden kawałek bardzo długi, bardzo długi, a piękny... To się gra naprzód tak cichutko, cichutko, potem głośniej, a potem najgłośniej, jak tylko można, potem znów ciszej i ciszej, aż się skończy. I wiesz? Z pedałami.

— E, żartujesz.

— Nie, nie żartuję i z pedałami.

— Przecież ty nie dostaniesz do pedałów.

— To się gra stojący.

— Zagraj mi kiedy.

— Nie mogę. To jest zakazane. Jej, jej, żeby tak dziadzius usłyszał.

Ta groźba poskutkowała. Marek obejrzał się z trwogą i już nie nalegał, choć szalenie był ciekawy tego arcydzieła z pedałami.

Hala zauważyła zainteresowanie się Marka jej fantazją i była zadowolona, że nareszcie i ona czemś zaimponowała i zaostrzyła jego ciekawość.

.
Hala długo jeszcze leżała w łóżeczku.

Wiosna już była w połowie, gdy Halę uważano za zupełnie zdrową.

Marek marzył o usłyszeniu kawałka, grywanego jakoby tak wirtuozowsko przez małą księżniczkę.

IX.

Ani w tym, ani w następnym roku Marek nie wtajemniczył Hali w sposoby ślubów, które miał zamiar z nią zawrzeć. Halę wywieziono do ciepłych krajów, skąd, dopiero po dwóch latach, wróciła do rodzinnej wsi.

Gdy Marek dowiedział się o rychłym wyjeździe księżniczki, wpadł w rozpacz. Płakał po kątach i podejrzewał, że Hala wygadała się o tym ślubie i dlatego ją zabierają, by zapobiec temu związkowi.

Tuż przed wyjazdem Marek zaproponował Hali, gdy była na spacerze z boną, aby, korzystając z tego, iż opiekunka jest zaczytana w jakimś romansie, pójść do jego przyjaciela w odwiedzin.

Ach, księżniczka była zachwycona. Już zaczynała podejrzewać, że ten przyjaciel ma także podstawy rzeczywistości, jak ów utwór, który się gra na stojący z pedałami.

— Chodźmy prędko — zawołała uradowana i złapała malca za rękę.

Pobiegli w stronę domu Fiukalskich. Przez jakąś dziurę w płocie wciągnął małą do ich obejścia. Za chwilę byli koło psiej budy, gdzie Klamka okazywał szaloną radość z odwiedzin; mało łańcucha nie zerwał.

— Więc to Klamka jest ten twój przyjaciel?

— Tak, Klamka.

Hala miała mały zawód. No, ale i to dobrze, że choć raz poznała tę tajemnicę. Przytem Klamka jest bardzo miły, gdybyż tylko miał mniej pcheł.

Ale Marek broni przyjaciela:

— Cóż robić, moja droga, jak się sypia w budzie.

Po paru minutach pobytu u Klamki Hala była rozbrojona zupełnie przywiązaniem, jakie pies okazywał obojgu: lizał im ręce, patrzył miłośnie w ich dziecinne, niewinne oczy i jak odchodzili, zawył biedak boleśnie na ich pożegnanie.

.

Staremu księciu wpadła do ręki książka, którą przez zapomnienie francuzka zostawiła na stole. Był to „Pamiętnik panny służącej”. Książkę zaczął przeglądać ową książkę i za każdą stroną jego twarz zaczynała coraz bardziej drgać nerwowo. Gdy podnosił czasem oczy z nad książki, te ciskały pioruny dokoła i gdyby się właśnie w tym momencie francuzka zjawiła, raptus cisnąłby w nią na pewno tą książką prosto w głowę.

Gromkim głosem zawołał syna i synową. Zaczął im wyklądać niestosowność wprowadzania tego rodzaju książek w dom, gdzie są dzieci i wogóle pod dach chrześcijański!

Zawołano bonę. Ta, ujrawszy swoją książkę w ręku paralityka, struchlała.

Książkę zaczął ją strofować po francusku, przechodząc od czasu do czasu na język polski. Potem jego mowa stawała się coraz gwałtowniejszą, zaczął uderzać raz po raz książką o stół, wreszcie wyciągnął rękę z książką ku francuzce.

— Masz, bierz!

Francuzka nieśmiało zbliżyła się do śledzienika.

Ten się zniecierpliwił.

— No, prędzej!!

Francuzka sięgnęła ręką po książkę, ale dzia-

dek nie wypuszczał z kleszczów swego ujęcia i jeszcze perorował w dalszym ciągu, opluwając tę, do której stosował swe surowe słowa.

Ona mimowoli otarła twarz. To wyprowadziło starca do reszty z równowagi. Nie miarkując się w słowach, zaczął ją obrzucać obelgami, tupiąc w wózek swą jedną zdrową nogą. Nikt się nie ośmiewał przerwać tej awantury.

Nagle Hala zbliżyła się do wózka, wspięła się po kole i zaczęła rozjuszonego starca głaskać swą rączką po potężnej żółtej czaszce, przyczem z dziecinnem przymileniem mówiła: „cisio, cisio, cisio”.

Starzec groźnie spojrzał na małą, potem, jakby coś przeżuwał, niby te resztki wymysłów, które jeszcze miał wypowiedzieć w stronę strapionej francuzki.

Francuzka skorzystała z tego momentu i, zabrawszy książkę, wyszła czem prędzej z pokoju.

Wszyscy z podziwem patrzyli na uśmiechniętą Halę.

Marek słyszał, jak guwerner nazwał Halę podwajem poskromicielką tygrysa.

Przygotowania do wyjazdu Hali z matką i boną były już skończone.

Z Markiem działo się coś dziwnego: stracił apetyt, źle sypiał i myślał tylko o tym rychłym wyjeździe gdzieś daleko, daleko, swej małej towarzyszk.

Gdzieś w kącie, jak nikt nie widział, pożegnali się, płacząc i zapewniając się nawzajem, że nie zapomną o sobie. Dziadek ucałował też Halę w oba policzki, poruszył parę razy swemi olbrzymimi brwiami, jakby chcąc ukryć wzruszenie, i pobłogosławił ją krzyżem w powietrzu.

Marek instynktownie unikał oficjalnych po-

żegnań z Halą i wybiegł na szosę, aby z za topoli spojrzeć jeszcze raz na małą swą przyjaciółkę.

Czekał z bólem serca na zbliżający się powóz. Wreszcie mignął tylko koło niego, ale Hali nie ujrzał. Wybiegł na środek szosy i patrzył długo, długo, aż znikł mu w kłębach kurzu, uwożąc jedyną mu bliską istotę z całego pałacu.

Potem schował się pod kamienny most, gdzie długi czas płakał, a resztę łez poszedł wylać na owłosienie pocziwego Klamki.

Z Adolfkiem żył w stałym antagonizmie, tak, że z niego nie miał żadnego towarzystwa. Przytem Adolfe, znacznie starszy od Marka, już nie miał z tym ostatnim nic wspólnego. Tak, że Marek był literalnie w wielkim pałacu sam sobie pozostawiony. Guwerner nie przeciążał go nauką i Marek większą część dnia nudził się, jak mops, myśląc o jedynej swej towarzysze i podsłuchując listów, które pisała do ojca i dziadka. Coraz częściej wymykał się z obrębu pałacu, biegał po łąkach, lub przesiadywał z Klamką w budzie, lub obok niej.

I tak mu zeszły dwa lata. Dwa lata jednostajne, nudne, pełne tęsknoty za małą księżniczką, najprawdziwszą w świecie księżniczką, bo przecież wypróbowaną zapomocą ziarnka grochu. Marek miał na nią uważać, że niby jest chorowita, tymczasem zabrali ją z pod jego tajemnej opieki i wywieźli gdzieś nad morze do ciepłych krajów.

Raz, widząc odlatujące zórawie, zazdrościł im ich właściwości. Żebyż on tak był przelotnym ptakiem, poleciałby szukać tam, w ciepłych krajach, swej małej przyjaciółki. Niestety, jest tylko małym nędznym chłopcem, którym każdy w pałacu pogardza, jako żyjącym tu na łaskawym chlebie. Unikał jak mógł, spotkania ze starym księciem, gdyż ten

specjalnie mu dokuczał. Jego szorstki, ostry głos, skierowany do Marka, napawał malca jakimś zabo-bonnym strachem i podniecał w nim nienawiść do starego despoty. Marzył o jakiejś wyrafinowanej zemście. Adolfek, chłopak pyszny i zarozumiały, dokuczał też Markowi, ale jemu malec mógł się odciąć, mógł mu również dokuczyć po swojemu, zaś stary książę był otoczony jakimś mistycznym autorytetem i dlatego Marek nienawidził go bardziej, niż Adolfa.

Kiedys Adolfek, bawiąc się fuzją-wiatrówką, zaczął na Marku próbować celności swych strzałów. Markowi rola ta się nie podobała.

— No, przestań do mnie celować! — krzyknął raz i drugi.

Adolfek, widząc, że to irytuje ambitnego chłopaka, tem bardziej starał się trafiać grochem w Marka.

Marek już był czerwony, jak burak. Pomny jednak zajścia, w którem Adolfek był przyczyną, a mimo to, on sam tak surową karę otrzymał od starego księcia, zaciskał zęby i starał się nie wychodzić z równowagi.

— No, ty, bo powiem twojemu dziadkowi!.. — zagroził wreszcie.

Marek wiedział, że to jest najwyższa instancja, ale zrozumiał, że groźba ta jest śmieszną wobec Adolfa.

Adolfek, celując w głowę z wiatrówki, mówił:

— Mój mały, naprzód powinienes się odzwyczaić mówić mi „ty”. Jestem dużo starszy od ciebie, a potem książę, a ty co? Oprócz tego, nie strasz mnie dziadkiem, bo ja się wcale go nie boję. Ja i on jesteśmy równi. I ja wkrótce będę tu się rozporządzał i wiedz, że wtedy wyrzucę cię z pałacu na cztery wiatry.

W tym momencie padł strzał i groch trafił w oko portretu, który pierwszy wisiał na ścianie i rozpoczynał cały szereg antenatów książąt Cieszyńskich.

Marek spojrzał na tego rycerza, okutego w zbroję i zdawało mu się, że ten zmarszczył się groźnie, z czego stał się jeszcze podobniejszym do dziadka Adolfka.

Ten ostatni, chcąc, widać, dać poznać Markowi, że właśnie tam chciał trafić, zaczął raz po raz strzelać do portretu.

To, co usłyszał od Adolfka, dało Markowi temat do rozmyślań. Pierwszy raz uświadomił sobie, że tak, jak stary jest księciem, jak Hala księżniczką, tak i ten Adolfek jest też arystokratą. Zabolało go mocno, że z tego, co mu Adolfek mówił, dużo ma racji. Był już przekonany, że jeżeli mały księżę zażąda tego przez starego księcia, to Marek będzie musiał przestać go tykać. Jeżeli przyjdzie do tego, postanowił nigdy się już do Adolfka nie odzywać, gdyż czuł, że zwrot „panie“, a coś dopiero „księżę“, nie wyjdzie mu z gardła.

Gorycz, jaka zapanowała w jego nieszczęsnej duszyczce, podszeptała mu zemstę za wszystko, co mu kiedykolwiek Adolfek wyczynił. Właśnie do jadalnej sali wjechał wózek paralityka, popychany przez kamerdynera.

Innym razem Marek wymknąłby się cichaczem z pokoju, w którym przypadkiem znalazłby się ze starym księciem, ale tym razem wystąpił naprzód, stanął przed księciem i ośmielił się poskarżyć. Odczuwał on, jaką czią były otaczane te portrety rodzinne i postanowił na tem oprzeć straszne oskarżenie.

— A Adolfek to ciągle strzela do tego rycerza w zbroi.

Adolfek właśnie trafił w nos swego protoplastę, aż kawałeczek farby odprysnęło ze starego obrazu.

— Jak ty śmiesz! — krzyknął odrazu książę.

Adolfek się stropił i złowrogo spojrzał na wyrafinowanego Marka.

— Dla ciebie powinna być to świętość! Jak śmiesz zabawki robić sobie z tego, któremu cały nasz ród zawdzięcza swój splendor i wszystko. W tym wieku nie możesz tego zrozumieć i odczuć, błaznie jeden. Nawet ten prosty chłopak odczuł niestosowność twego postępków!

Adolfek czuł się upokorzony w obecności Marka i dlatego postanowił nie milczeć.

— Dziadziu, on nic nie odczuł, tylko chciał mnie na złość oskarżyć.

— Tu nie chodzi o tego tam smarkacza, tylko o ciebie, trutniu jakiś. Na kolana mi zaraz przed tym portretem i klęczeć aż do obiadu!

Adolfek zagryzł wargi i spojrzał na Marka. Ten uśmiechał się ironicznie. W innym wypadku usłuchałby natychmiast strasznego dziadunia, ale ten uśmieszek Marka wyprowadził go z równowagi.

— No — powtórzył dziadek — słyszałeś? Na kolana!

Adolfkowi łzy napłynęły do oczu i zaczął się jękać.

— Ja jestem taki sam pan, jak i on i nie będę przed nim klękał.

— Co? Coś ty powiedział?! — zaryczał już wściekły książę.

— Ja jestem — tłumaczył Adolfek — ze starej arystokratycznej rodziny i moja duma nie pozwala mi się tak poniżać przed obrazem tego, który o kilka pokoleń młodszym jest arystokratą ode mnie.

Dziadek miętosił nerwowo brzeg pledu, którym był okryty.

— Oho, będzie lanie — myślał uradowany Marek i cieszył się, że mu tak wyborny pomysł przyszedł do głowy.

Adolfek zaś już się zupełnie zbuntował i widać było, że na wszystko jest gotów.

— Ja nawet od dziadzia jestem o dwa pokolenia starszy księżę i mam też swoją ambicję.

Dziadek sapał i nic nie mówił, widać przetrawiał w myśli wywody heraldyczne Adolfka.

Ku niesłychanemu swemu zdziwieniu, Marek zauważył, jak starzec uśmiechnął się półgębkiem.

— No już dobrze, dobrze — zauważył wreszcie paralytyk, najwidoczniej uspakajając się, idź sobie stąd. Pamiętaj, żeby mi się coś podobnego nie powtórzyło.

Adolfek wyszedł, rzuciwszy zwycięskie spojrzenie strapionemu Markowi.

— A ty czego tu? — zapytał go księżę.

Marek bardzo szybko opuścił pokój.

Nic a nic nie rozumiał z tego, co przed chwilą zaszło. Słyszał najwyraźniej, że Adolfek nazwał się starszym od starszego księcia i jakby ten ostatni przyznał mu rację. Czuł się bardzo nieszczęśliwym. Nic mu się nie udaje. Starszy księżę, jak różdżką czarodziejską dotknięty, nagle tak zmieknął i jakby nabrał szacunku wobec dumnego wnuka.

Odtąd Marek przestał rozmawiać z Adolfkiem i pędził żywot zupełnie samotny. Gdyby miał rozrywki i towarzystwo odpowiednie swemu wiekowi, możeby wkrótce zapomniał o małej dziewczynce i tęsknocie za nią, a tak ciągle o niej myślał i wspominał różne epizody z ich wspólnych przeżyć. Zwierał się wiernemu Klamce ze swych tęsknot i nie

otrzymując żadnej, oczywiście, korespondencji od Hali, postanowił sam do siebie, niby od niej, pisać listy. Gdy napisał taki list, przekradał się do budy wiernego przyjaciela i czytał mu te listy, których Klamka, jak mu się zdawało, wysłuchiwał z najwyższem zainteresowaniem. Wkrótce Marek uwierzył, że listy te nie on pisał, lecz Hala, i robiły mu one dużą przyjemność.

„Najdroższy Marciu! Niedługo wrócę do pałacu, a potem się z tobą ożenię. A potem razem pojedziemy gdzie indziej, bo w pałacu jest źle i wszyscy nas nie lubią, a my się lubimy. Uściskaj ode mnie Klamkę i nikomu tego listu nie pokazuj. Jak wrócę, to może zagram ci ten piękny kawałek, co mi francuzka nie pozwala grać, tylko same gamy. Całuję cię, twoja prawdziwa księżniczka, Hala“.

X.

Hala wróciła!

Jest znów w pałacu.

Zmieniła się bardzo.

Urosła i zeszczuplała tak, że Markowi wydała się jakoś obcą narazie.

Zaczął rozpaczać. Z twarzy zrobiła się jakby podobna do nieznosnego Adolfka. Marek nie myślał jej wcale zaczepiać, tej innej, jakby obcej panienki. To już nie ta prawdziwa księżniczka, której ziarnko grochu kiedyś nie dało spać przez noc całą. Marek wyobrażał sobie, że nie będzie miał odwagi zbliżyć się do tej nowej Hali. Jeszcze raz odcyfrował listy, które rzekomo od niej otrzymywał z zagranicy i zaczynał wątpić, żeby to ona właśnie je pisała.

Rozmyślając o swych sercowych zawodach, spacerował w cieniu lipowej alei.

Naprzeciwniego ukazała się wysmukła postać Hali. Gdy się zrównali, ona uśmiechnęła się swym anielskim sposobem i wyciągnęła do chłopca rękę.

Marek zażenował się mocno tem niespodziewanem spotkaniem, lecz radość dziwna rozlała się w całej jego istocie; podbiegł do księżniczki żywo i pocałował ją w rączkę, co zdziwiło ją najwidoczniej. Dawne zaufanie do małej przyjaciółki wróciło. Zaczął jej opowiadać o swoich tęsknotach, o nudzie, jaka go w pałacu przez czas jej niebytności trapiła. Mówił, jaką miał pociechę z jej listów, które do niego pisała. Ta wiadomość mocno ją zdziwiła. Wyciągnął parę zabrudzonych papierów i dał jej do czytania. „Najdroższy Marciu” i t. d.

Dwunastoletnia panienska przeczytawszy te gryzmoły, dziwiła się tylko, jak treść tych fikcyjnych jej listów zgadza się z tem, co onaby do niego pisała, gdyby mogła. Przyznała się, że nieraz w myśli posyłała tego rodzaju korespondencję do niego.

Śmiejąc się, spytała go, co słyhać z zapowiedzianym ślubem. Już dziś uważała ten ślub za nonsens i dziecinny wymysł. To też zdziwiła się, gdy Marek ją zawiadomił, że wszystko gotowe i nawet już jutro ślub może się odbyć.

Niebardzo wierzyła w ten ślub, ale mimo to ciekawa była, co też to znów Marek nowego wykombinuje.

.....

Któregoś dnia w pałacu został tylko stary książę i Hala. Mali narzeczeni postanowili skorzystać z tak wyjątkowej okazji.

Hala i Marek spotkali się w ustronnem miejscu parku, wzięli się za ręce i Marek prowadził swą to-

warzyszkę przez siebie jedynie wiadome ścieżki wśród krzaków i zarośli. Wkrótce znaleźli się koło budy Klamki. Marek spuścił psa z łańcucha i we trójkę wyszli tajemnem przejściem na łąki. Pies skakał jak oszalały, radując się niespodziewaną wolnością, ani przypuszczał, jaką rolę poważną dano mu do odegrania; wszak miał być jedynym świadkiem ślubów swego małego pana i księżniczki von Teschen-Cieszyńskiej.

Na łące był olbrzymi krzak dzikiej róży. Do tego miejsca dotarł orszak ślubny. Marek ukląkł przed krzakiem. Hala uśmiechnęła się, gdyż uważała to całe przedsięwzięcie za dziecinne żarty, jednak uklękła przy nim.

— Pomódlmy się — szepnął wzruszony Marek.

— Dobrze — odparła Hala.

I cicho chwilę modlili się. Nad ich głowami gdzieś wysoko skowronek niewidzialny świergotał radośnie; dzikie różyczki ciekawie przyglądały się niezwykłym gościom.

Po chwili Marek wyjął z kieszeni skrawek papieru i pokazał go Hali.

„Marek i Hala ożenili się tutaj i przysięgają sobie miłość, wierność i posłuszeństwo małżeńskie”.

Marek uklął się szpilką w palec i napisał swą krwią swoje imię. Hala bez namysłu poszła za jego przykładem. Marek umieścił zwinięty paperek w jakieś blaszane pudełeczko i wskazawszy miejsce pod krzakiem róży, zawołał:

— Klamka, szukaj, szukaj!

Pies zawzięcie zaczął kopać, aż wykopał dość sporą jamę. Marek schował w nią pudełeczko ze ślubami i zasypał norę ziemią. Potem mali pocałowali się w buzię i już było po ślubie.

Hala jakoś spoważniała i jakby zastanawiała się nad tem, co tu przed chwilą zaszło.

Skowronek nucił swą radosną pieśń, różyczki dzikie, poruszane lekkim wietrzykiem, pochyliły się ku sobie i szeptały tajemniczo, komentując fakt uroczystości, jaka miała miejsce pod krzakiem.

.

Czy wiesz, księżniczko, że ten ślub związał cię z Markiem na wieki?

Czyś dlatego tak spoważniała w tym momencie, iż przeczułaś, że ten chłopiec związany tym ślubem na zawsze i że wiecznie tęsknić będzie tylko za twem małym serduszkim. A tęsknota ta pogrąży go w rozpacz bez granic, w samobójcze myśli, a może owieje go słodką pieszczotą marzeń o nieziszczonem szczęściu.

XI.

Hala i Marek widywali się bardzo rzadko.

Kiedys podpatrzył ich Adolfek na tajemnej schadzce i z tego powodu Hala miała wymówki od mamy. Księżna, oczywiście, nie przywiązywała żadnej wagi do widocznej sympatji wzajemnej tych dwojga dzieci, to też żadnych poważniejszych skutków ta ich nieostrożność nie pociągnęła i życie w pałacu szło dalej normalnym trybem. Kiedy matka robiła wymówki córce, że, mimo zakazu, bawi się z Markiem, Hala jeszcze raz sobie w duszy przysięgała, że nikt się od niej nigdy nie dowie tych tajemnic, które wiązały ją z synem rządcy.

Jednostajność życia pałacowego zakłócił pewien wypadek, który wycisnął dość wybitne piętno na Marku.

Od dłuższego już czasu nie widywał sam na sam księżniczki, która już była podlotkiem i nie miał spo-

sobności dowiedzieć się od niej, czy jeszcze przywiązuje wagę do składanych przysiąg pod krzakiem dzikiej róży.

Ach, niestety, ta jego dawna towarzyszka zabaw dziś już jest taka dorosła. Nosi wprawdzie krótkie spódniczki i skarpeteczki, co pozwala widzieć gołe kolanka, ale stąpa teraz tak jakoś poważnie, czytuje książki francuskie i przestała się bawić zabawkami. Księżna pani w ostatnich czasach dużo z tych zabawek darowała Markowi.

Była wiosna.

Stary książę kazał się z wózkiem wytoczyć przed ganek i grzał się w wątych promieniach wiosennego słońca.

Adolfek, już dziś dorastający chłopiec, uczył się ze swym nauczycielem do matury, którą miał w tym roku zdawać, jako extern w gimnazjum.

Księżna czytała głośno teściowi gazetę, a Hala zbierała ukazujące się już fijołki na trawniku.

Woddali ukryty za drzewem Marek obserwował harmonijne ruchy księżniczki, stąpającej jak sarenka swemi cienkimi nóżkami po świeżej zieloności trawy.

Jakżeż teraz niedostępną wydawała się Markowi ta dawna towarzyszka dziecięcych figlów.

Ona nie przeczuwała, ile razy z ukrycia ten mały ją obserwował. Była to jedyna jego przyjemność i jedyny sposób obcowania z jej osobą.

Zwątpił już był zresztą zupełnie w to, iżby księżniczka miała jeszcze myśleć kiedy o nim, lub pamiętać to wszystko, co dla niego było źródłem godzinnych rozmyślań i wspomnień.

Nagle ciszę wiosennego poranku rozdarł bolesny krzyk przestachu. To Hala padła nawznak na trawę i rozpaczliwie, kopiąc nogami, wzywała przerażliwym piskiem pomocy.

W jednej chwili zerwali się wszyscy, prócz sparaliżowanego, na równe nogi. Nim zdołano zorjentować się, co się stało, jak z pod ziemi wyrosły Marek znalazł się pierwszy przy Hali.

Ogromna żmija, z rdzawą pręgą na gibkim grzbiecie, owinęła się koło łydki wierzgającej rozpaczliwie księżniczki i wpiła się swemi kłami w jej białe, nagie kolanko.

Marek, w jednej chwili, niepomny na niebezpieczeństwo, schwycił śliskie ciało żmii, oderwał od krwawiącego kolana Hali i odrzucił wstrętne stworzenie daleko od siebie.

Guwerner wnet zabił rozwścieczonego gada.

Marek zaś, nie namyślając się ani chwili, ukląkł obok płaczącej z bólu i przestachu księżniczki, ujął z dwóch stron rany jej nogę rękami i z całych sił zaczął wysysać krew wraz z jadem z rany.

Wszyscy otoczyli biedną Halę. Najwidoczniej stracono głowę.

Po chwili dopiero posłano na gwałt po lekarza do miasteczka.

Marek po tym wypadku z emocji i wysiłku nerwowego zemdłał. Gdy go ocucono, ujrzał się otoczonym przez służbę dworską. Wszyscy najwidoczniej odnosili się do niego z jakąś mimowolną sympatją.

Nawet stary książę, gdy Marek przyszedł całkiem do siebie, wezwał go i pogłaskał go po głowie; taka łaska nigdy nikogo, jako żywo, od starego księcia nie spotkała.

Starzec widocznie szukał słów na podziękę za ten czyn bohaterski chłopca, ale jakoś nie wiedział, co ma mówić; wreszcie wyjął drżącą ręką portfel, dobył jakiś papier bankowy i podał go chłopcu.

Marek się zaczerwienił i nie sięgnął po pieniądze.

— No, masz, to dla ciebie — zauważył niecierpliwym tonem ksiązę.

— Ja dziękuję...—odparł chłopak, jękając się.—
Ja nie dlatego...

— Bierz! Słyszysz, smarkaczu jakiś! — zawołał już zirytowany ksiązę.

— Nie wezmę! — odparł stanowczo Marek i dumnym, sztywnym krokiem wyszedł z pokoju.

— A to dumna sztuka — zasyczał ksiązę, niezadowolony z obrotu sprawy.

.

W całej dziecięcej naturze dwunastoletniego chłopca zaszedł gwałtowny przewrót. Ta jedna chwila, którą przeżył wtedy, z dziecka uczyniła nagle mężczyznę.

Płciowość nie rozwija się powoli latami, czy miesiącami, lecz obudza się w jednej chwili, otrzymawszy jakiś silny bodziec, który w tym momencie z dziecka czyni mężczyznę lub kobietę.

U Marka tym bodźcem stał się wypadek ze zmiją. Nagłe podniecenie wyobraźni, które spowodowało go do szybkiej orientacji i decyzji, wysiłek nerwowy i fizyczny, dalej widok cierpiącej i będącej w śmiertelnym niebezpieczeństwie istoty — oto były czynniki, które podziały piorunująco na jego stan psychiczny i fizyczny.

Gdy przylgnął wargami do jadowitej rany na delikatnem dziewczęcem kolanku, uczuł jakąś niezrozumiałą mu słabość w członkach, serce zdawało się przestawać w swej pracy, to znów uderzało zbyt mocno w piersi, której tchu już brakowało.

Gdy potem zbudził się z omdlenia, w pierwszej chwili przyszła mu na myśl Hala i jej białe, delikatne kolanka.

Myślał o tem z dziwnem, nieznanem mu dotąd rozrzewnieniem i wiedząc, że scena podobna już się nigdy nie powtórzy, żałował, że to już przeszło i że nigdy nie dotknie spragnionemi wargami kochanych, delikatnych kolan miłowanej kobiety.

Zmienił się tryb jego myśli i życia.

Zaczął odtąd na otaczający go świat zwracać inną uwagę. Budząca się w naturze wiosna tworzyła w jego głowie nowe, nieznanne dotąd myśli, zaczął jakoś baczniej obserwować spotykane kobiety i tęsknota jego, do ciągle niedostępnej Hali, stała się jakimś rozkosznem cierpieniem, któremu nie umiał dać nazwiska i przyczyny którego, nie umiał sobie wytłumaczyć. Ileż razy teraz uważniej obserwował francuzkę, na którą dotąd nie zwracał najmniejszej uwagi.

Przypomniawszy sobie teraz, jak mu francuzka kiedyś zaproponowała, aby ją pocałował w obnażoną nogę. Dziwił się teraz, dlaczego wtedy nie skorzystał skwapliwie z tej propozycji. Zawsze w pałacu uchodził za dzikusa, lecz teraz unikał spotkania z kimkolwiek bardziej, niż dawniej.

Włóczył się sam po lasach i wertepach, podglądał dziewczyny wiejskie, gdy prały bieliznę w rzece z wysoko zakasanemi kieckami. Niekiedy, gdy leżał na mchu w lesie, a szum niebotycznych sosen i dębów kołysał jego zgorączkowaną głowę majestatyczną symfonią, zapłakał sobie rzewnie i wtedy księżniczka przychodziła mu na myśl i wszystkie z nią związane wspomnienia.

Odwiedzał często ów krzak dzikiej róży, pod którym zakopane były ich przysięgi na wierność i miłość wieczną.

Z Halą nie widywał się już zupełnie. Zresztą sam nie szukał tej sposobności, czuł się wobec niej bowiem jakiś zażenowany, nieśmiały. Zaczynał też po-

trochu rozumieć przepaść, jaka jest między nimi dwojgiem, zaczynał odczuwać śmieszność ich dziecinnych fantazji.

Czy ona myśli czasem o nim? Czy wspomina te różne ich romantyczne pomysły?

Ach, niechby lepiej zapomniała tych wszystkich nedorzecznosci. Jeżeli pamięta, jakżeż musi się wyśmiewać z jego bezgranicznej naiwności.

Był zwyczaj nabożeństw majowych pod figurą Matki Boskiej w parku. Nad wieczorem zbierali się księstwo i cała służba, palono światła przy figurze, ubranej codziennie świeżymi kwiatami, śpiewano litanję, którą tradycyjnie rozpoczynał książę.

Marek lubił, ukryty gdzieś w krzakach, obserwować te nabożeństwa. Słuchał pobożnych głosów, wpatrzony tylko w księżniczkę, która klęczała nieruchomo na piasku, z oczami utkwionymi pobożnie w figurę Matki Boskiej.

Cudnie wtedy wyglądała.

Zdawało się nieraz Markowi, że widzi nad jej złotą główką aureolę, aż przecierał oczy.

— Kocham cię, Halu, ty święta, ty moja, ty jedyna prawdziwa na świecie księżniczko!

Gdy światła pogaszono i na drodze alei ucichł skrzyp kół wózka starego księcia, Marek wychodził z ukrycia i zbliżał się do figury.

Dobrze zapamiętał sobie to miejsce, na którym Hala tak cierpliwie klęczała. Znalazł dwa wyżłobione w piasku odbicia drobnych kolanek, rzucił się na ziemię i całował zapamiętałe dwa małe dołeczki w ziemi, ciepłe jeszcze, jak mu się zdawało, gorącym tej, która się tu przed chwilą modliła.

Coraz częściej zaczęto w pałacu zwracać uwagę nato, że Marek, już duży chłopak, nic nie robi i żyje dosłownie na łaskawym chlebie. Sam to odczuwał; więc był zadowolony, gdy proponowano mu pewne zajęcie, które mógł uważać jako ekwiwalent za życie i naukę ofiarowaną mu przez księstwo.

Jego obowiązkiem było czytać staremu księciu dzienniki, powieści starej daty, co go setnie nudziło, ale napawało go poczuciem tego, że nie jest na jałmużnie, gdyż spełnia nań włożony obowiązek.

Oprócz tego, zamiast kamerdynera, on sam woził księcia na spacer w jego paralitycznym wózku.

Dużo musiał znosić od schorowanego starca niecierpliwych wymówek, uwag cierpkich, przykrych, nieraz dostał mu się też szturchaniec, lub pociągnięcie za ucho.

Za każdym razem w tym wypadku ambitny chłopiec spoglądał tylko ponuro na znienawidzonego starca i poprzysięgał zemstę, w której spełnienie sam na serjo nie wierzył.

Będąc często przy starym księciu, spotykał się z Hala. Ale nigdy na nią nie patrzył, więc też nie wiedział, czy ona kiedy spoglądała na niego, rozmawiając z dziadkiem.

Z rodzicami bardzo mało go łączyło. Odwykł od nich zupełnie. Mimowoli odczuwał macierzyńskie uczucie, jakie żywiła doń jego rodzicielka, gdy tuliła go do siebie podczas rzadkich ich spotkań.

Na ojca zaś patrzył bardzo krytycznie. Wprost odczuwał coś w rodzaju pogardy, widząc jego poniżanie się pokorne wobec księcia, a zwłaszcza starego, którego nawet czasem w rękę całował.

Marek zaczynał się już zastanawiać powoli nad swoją przyszłością.

Czemże on jest teraz?

Zajął miejsce Jana przy wózku paralityka. I co dalej? Czyż wiecznie ma być tu lokajem? Gdyby księstwo nie zainteresowali się nim, byłby chodził do szkół, potem zostałby rządcą, lekarzem, czy czemśkolwiek innem. Miałby swoje własne życie i swój własny zapracowany chleb. Byłby sobie panem. A tak co? Dotąd był żebrakiem, trzymanym z łaski, a teraz lokajem.

Gdy te myśli trapiły jego głowę, wpadał w prawdziwą rozpacz. Nie widział punktu wyjścia i byłby pewnie puścił się na ryzykowny krok i drapnął pokryjomy z pałacu w szeroki świat, gdyby nie Hala.

On tu każdej chwili czuł jej obecność, on słyszał jej anielski, łagodny głos, on mógł ją widywać, nie będąc przez nią widzianym. Obraz jej napawał go dziwną rozkoszą, której za nicby nie oddał.

Gdyby uciekł, tęsknota przygnałaby go z powrotem w progi pałacu. I wróciłby tu, jak syn marnotrawny; a jakżeby się śmiał tu pokazać. A coby jego ojciec powiedział na tę jego niewdzięczność za dobrodziejstwa, okazane mu przez księcia.

Nie pojmował skąd się u niego wzięła ta jakaś duma, granicząca z pychą, gdy ojciec jego jest tak pokorny i uniżony wobec chlebobdawcy.

Będąc w tak niskiej kondycji, zazdrościł ojcu tego usposobienia, gdyż przez swą dumę cierpiał w pałacu najbardziej.

.....

Gdy raz niósł buljon w filiżance dla starego księcia i podawał mu do ręki, usłyszał nagle głos Hali:

— Panie Marku, pan guwerner pana woła. Jeżeli dziadzio pozwoli, to proszę do niego.

Ten głos, pierwszy raz od tak dawna do niego bezpośrednio zwrócony, to „Panie Marku” — podzia-

łały na chłopca piorunująco i jakoś nieostrożnie podał do ręki księcia filiżankę z buljonem tak, że gorący płyn rozlał się na ubranie starca.

Marek w jednej chwili uczuł silne uderzenie kościstej zimnej dłoni w policzek.

Krew uderzyła mu do skroni. Spojrzał w jednej chwili na Halę. Stała jeszcze we drzwiach. Twarz jej nic nie wyrażała.

Z rozpaczą wpił swój wzrok, po raz pierwszy oddawna, w jej wielkie błękitne oczy i nic z nich nie wyczytał.

Ach, tak. Jakżeż ona musi pogardzać tym lokajczykiem, którego biją po twarzy bezkarnie. I to ona była świadkiem jego hańby, ona, na której mu najwięcej zależało, której niegdyś imponował, która kiedyś była naprawdę doń przywiązana.

Wszystko dziś już stracone. Nie ma już tu czego oczekiwać. Raz trzeba zerwać z dotychczasowem życiem.

Narazie chciał schwycić poręcz wózka i wyrwać w złości ten wehikuł wraz ze znienawidzonym starcem.

Obecność wnuczki oblała go zimną wodą. Z udaną pokorą zaczął robić porządek koło swego pana.

.

Postanowił uciec.

Jednak nie miał siły skutecznie tego przedsięwzięcia bez pożegnania się ostatecznego z Halą.

Napisał więc do niej długie, długie listy.

Wywnętrzał się w tem piśmie ze swoich zgryzot i tęsknot. Objaśniał jej swe nieszczęsne położenie i błagał ją, aby pozwoliła mu przed ucieczką raz jeszcze zobaczyć się i ucałować na pożegnanie swe drogie, kochane, błogosławione rączyny. List ten obficie zrosił łzami, zapieczętował i zaadresował:

„Do własnych rąk księżniczki Hali. Dyskrecja”. Wyraz „dyskrecja” usłyszał niedawno i był zadowolony, że właśnie teraz akurat trafiła się taka znakomita sposobność do użycia go. W nocy wyszedł z pałacu, zakradł się pod okno pokoju Hali, wspiął się do okna.

Zajrzał.

Pierwszy raz ujrzał jej dziecinny pokój.

Cały był pomalowany na różowo. Różowa ampla oświecała z góry różowo zasłane łóżko z tiulową zasłoną. Hala w nocnym peniuarze klęczała na klęczniku i modliła się. Marek nie mógł oczu oderwać od tego obrazka. Chciał zapukać w okno, ale nie śmiał i nie chciał przerywać modlitwy słodkiej dziewczęce. Wetknął swój list w szparę w oknie i chciał zapukać, poczem miał zamiar oddalić się. Hala otworzyłaby okno zainteresowana jego pukaniem, zauważyłaby list i jutro czekałby odpowiedzi.

Niestety, tuż dały się słyszeć szczekania psów nocnych i trąbka nocnego stróża. Marek struchlał na myśl, że może być tu odkrytym. Co za kompromitacja? Już nie chodzi o niego, on już zerwał z pałacem, ale biedna Hala na jakie przykrości byłaby narażona.

Zeskoczył rychło ze swego punktu obserwacyjnego i, jak złodziej, chyłkiem wrócił do swej sypialni.

W nocy spać nie mógł i z samego rana był pełen nerwowego podniecenia. Cekał z niecierpliwością odpowiedzi Hali.

Co mu odpowie?

Może, aby dał jej raz święty pokój, a może nie odpowie wcale, oburzona jego beczelnością.

Jeden z młodszych lokajów wziął go na stronę i zaczął mu życzliwie doradzać, aby się miał na ostrożności, gdyż francuzka dziś zrana otwierając okno, złapała list od niego, pisany do księżniczki. Podobno oddała go księżnej, a księżna z mężem nara-

dzają się właśnie, jakby o tym niezwykłym fakcie oznajmić staremu księciu.

Marek uczuł, że mu się nogi uginają.

Więc wszystko się jak najfatalniej złożyło. Wszystko się teraz zwali nietylko na niego, ale i na Bogu ducha winną Halę, i Marek nawet nigdy nie dowie się, jakby ona zareagowała na jego list.

Gdy stał tak w sieni, jak porażony, nie wiedząc, co teraz zrobić, usłyszał głos starego księcia:

— Marek! Marek!

Zawahał się chwilę.

Może książkę ma już w ręku jego nieszczęsne pismo.

W pierwszej chwili chciał, nie czekając dalszego rozwoju wypadków, drapnąć z pałacu, nie pożegnawszy się nawet z rodzicami. Gdy usłyszał jednak znów niecierpliwy głos starca, wzywający go do siebie, z przyzwyczajenia pobiegł do księcia.

— Na spacer! — zakomenderował paralityk.

Najwidoczniej awantura z listem nie była mu jeszcze wiadoma.

Marek narazie odetchnął. Ujął poręczę wózka i popchnął staruszka do parku.

W jego głowie przewalały się rozpaczliwe myśli. Wystawiał sobie, jak ten starzec zdany w tej chwili na jego łaskę lub niełaskę, wkrótce, dowiedziawszy się o tem, co Marek zwojował, stanie się jego surowym i bezlitosnym sędzią.

Ach, co za kompromitacja, jaki wstyd, jakie upokorzenie.

Już cała służba wie o tej strasznej tajemnicy.

Haha! „Dyskrecja”.

Marek przeklinał swą głupotę i podniecał w sobie zarzewie rozpacz, która gotowa go była popchnąć do najdzikszego kroku.

Marek popychał wózek coraz prędzej.

Starzec parę razy zwracał mu szorstko uwagę „Nie tak prędko”.

Marek nie zwracał na to uwagi i biegł prawie za wózkiem.

Wkrótce zjechał na manowce, gdzie zaczynała się część zapuszczonego, dzikiego parku.

— No! Co to jest? Gdzie ty mnie wieszysz? Zwarjował, czy co?

Znaleźli się na górze, z której widać było dalekie horyzonty, a tuż u podnóża łąkę i parowy zarośnięty sitowiem i tatarakiem. Wózek zaczął się siłą ciężkości spuszczać szybko po pochyłości.

— Marek, trzymaj wózek! — wołał zirytowany starzec. — Jeszcze się przewróci. Gdzie ty jedziesz!

Marek, jak warjat, śmiał się głośno, biegnąc z całym siłą za toczącym się po górze wózkiem.

Starzec wpił się kleszczowo rękami w poręcz wózka i z przerażeniem patrzył dziko rozwartymi oczami w przepaść.

W pewnej chwili wózek zwolnił biegu.

Góra się skończyła; wózek grzązł teraz w mokrzadzie niskiej łąki, brodząc wśród trzciny i wysokich traw.

Czarna woda zakryła już koła wózka i niepodobna go było pchać dalej.

Cisza tu panowała i tylko wielkie, zielone żaby przestraszone nieznany wehikułem, ciężko skakały spłoszone, po bokach wózka.

— Coś ty zrobił? Jak ty mnie teraz stąd wyciągniesz?! Czekaj, każę ja ci, bisurmanie, skórę wygarbować. Popamiętasz łajdaku ruski miesiąc.

I ten bezsilny starzec jeszcze mu chce imponować. Marek roześmiał się niesamowicie, zaszedł od przodu wózka, grzęznąc po kolana w błocie i powiedział:

— Już się skończyło, jaśnie panie, moje wysługiwanie się, już się skończyło. Żegnam uniżenie. Ży

czę przyjemnego spędzenia czasu z żabami. Adju Fruziu!

Wykrzywił się po łobuzersku, ukłonił się czapką aż do ziemi i szybko zaczął się oddalać.

Usłyszał jeszcze rozpaczliwy głos starca, wołający ratunku. Echo tylko odpowiedziało. Został tam sam jeden wśród moczarów, jak łoś odynieć.

.

Marek jeszcze nie wiedział, co dalej z sobą robić. Mosty spalone i co teraz? Wszedł nieśmiało do rodzicielskiego domu. Matka robiła coś przy kuchni. Zobaczywszy go, otarła ręce w fartuch i radośnie się doń uśmiechnęła.

Przywitał matkę z ponurym wyrazem twarzy.

— Cóż się stało? — spytała matka. — Cóż cię tu sprowadza?

— Nic. Tak sobie przyszedłem.

— Czy spytałeś kogo? Pozwolili ci mnie odwiedzić?

— Nie pytałem o pozwolenie nikogo. Nigdy o żadne pozwolenie nikogo pytać nie będę.

Matka się zaniepokoiła. Poznała bunt.

— Mój Marciu, czyś ty się zastanowił? Co ojciec twój na to by powiedział?

— Właśnie, że się zacząłem teraz zastanawiać. Dosyć tego życia.

— Jakiego życia?

— No, tego.

— Pogardzasz życiem, którego ci każdy zazdrości.

— Ha, ha... Mają mi czego zazdrościć!

— Może nie.

— Naturalnie, że nie.

Matka się nie na żarty zafrasowała.

— Wróć, Marku, wróć do pałacu.

Z przymileniem patrzyła mu w oczy.

— Ja już w pałacu nie mam co robić.

Matka się rozpląkała i zabrała się do przerwane roboty.

Marek usiadł w kącie i utkwiał wzrok nieruchomy w podłogę.

Z godzinę trwało milczenie między matką i synem, aż wszedł do kuchni pan Fiukalski. Stał z rozkraczonymi nogami przed niezwykłym gościem.

— A ty co tu robisz?

— Siedzę — odparł Marek, nie podnosząc oczu z ziemi.

— To widzę, ale co ciebie tu sprowadziło?

— To, co każdego syna prowadzi w dom rodzicielski.

— Bardzo to ładnie, ale co w pałacu wobec tego

— Nie wiem, co w pałacu i nie chcę wiedzieć.

— Ej, coś źle się święci.

— Ja także myślę, że się coś złego święci — dodała płaczliwie pani Fiukalska.

— Co to się stało? — zwrócił się mąż do niego z zapytaniem.

— Tyle wiem, co i ty.

— Dawno tu już siedzi?

— Może godzinę, może więcej.

Ojciec się zachnął:

— No, dosyć tej wizyty, wracaj do pałacu.

— Do pałacu nie wrócę. Nie mam tam już nic do roboty.

Ojciec się zaperzył i zaczął nerwowo spacerować po kuchni.

Matka zaczęła cicho płakać, ocierając oczy fałdą rękawa.

Fiukalski snąć ważył w sobie, co teraz mu czynić wypada i kiedy się dosyć naspacerował, wsadził czapkę na głowę i rzekł, wychodząc:

— Zobaczymy, coś ty tam znów znalazł?

Długo ojciec nie wracał z wycieczki do pałacu.

W pałacu było już poważne zaniepokojenie zniknięciem starego księcia. Szukano go po całym parku.

Dopiero któryś z lokajczyków poszedł śladami kół wózka i znalazł starca w jego fatalnem położeniu. Sam wyciągnąć z błota go nie mógł. Dopiero z pomocą służby wyciągnięto na górę wózek ze starcem na pół żywym.

Gdy się trochę uspokoił po przebytych wrażeniach i niezwyklej podróży, gdy opowiedział, skąd się sam znalazł wśród pustynnych moczarów, przystąpiono do uświadomienia go w skandalu z listem Marka do jego wnuczki.

Narady tajemnicze odbywały się w sześć ócz.

Księstwo z ojcem swym zamknęli się w pokoju i prócz gwałtownych wykrzykników oburzonego starca nic konkretnego ani bona, ani służba nie zdołała podsłuchać.

.....
Marek czekał wyroku cierpliwie.

Cały świat stał mu się teraz obojętnym.

Godziny szły za godzinami, a on siedział nieruchomo w kącie.

Matka poczęstowała go jakąś przekąską. Odmówił.

Nareszcie wpadł pan Fiukalski, jak bomba. Nie zdejmując nawet czapki, zaczął krzyczeć od progu:

— Ładne historie, panie dobrodzieju.

— No, co, co? — zapytała pani Fiukalska zaniepokojona.

— Powiadam ci, skandal, że wstyd mi, żem dożył czegoś podobnego!

— Mój Boże, co się stało?

— Amorów się smarkaczowi zachciało. I co

jeszcze? Ośmielił się, powiadam ci, ośmielił się pisać miłosne listy do... księżniczki!

— Ach mój Boże! — pani Fiukalska załamała rozpaczliwie ręce.

— I myślisz, że to wszystko? Nie, nie dość na tem. To bydlę niewdzięczne, ten łajdak bez czci i wiary wywiózł gdzieś na łeb na szyję starego księcia w bajurę pod parkiem i tam go zostawił, wydrwiwszy go na pożegnanie.

Marek, na wspomnienie swej piekielnej zemsty wobec starego księcia, uśmiechnął się.

Ojciec ciągnął dalej, trzęsąc się ze złości i potęgując siłę głosu.

— I to wszystko zato, że go przygarnęli, że go kształcili, że go karmili frykasami z książęcego stołu. I jak my, starzy, teraz wyglądamy. Za tyle lat uczciwej, wiernej służby ja nie będę miał śmiałości nikomu w oczy spojrzeć.

Marek wreszcie ośmielił się przerwać tę ojcowską perorę:

— E, niech ojciec znów nie przesadza. Księstwo jeżeli nie więcej, to w każdym razie tyleż, co i ojciec im, ojcu zawdzięczają i to za tę nędzną zapłatę. Żadnych nadzwyczajnych wdzięczności im się nie należy. Jest zwyczajny stosunek: oni płacą pieniędzmi, a ojciec pracą.

Ta zuchwałość syna wyprowadziła go z reszty równowagi, skoczył do, ciągle nieruchomo siedzącego w kącie, syna, schwycił go lewą ręką za włosy, a prawą zaczął go w pasji okładać, gdzie popadnie.

Marek wyrывał się rozpaczliwie, w czym mu matka pomagała, mitygując porywczość Fiukalskiego, przyczem żałośliwie płakała. Aż zmęczony ojciec puścił posiniaczzonego chłopca z swych objęć, który, zgębiony i nieszczęśliwy, uciekł do pokoju, gdzie rzucił się w rozpacz na kanapę.

Przeleżał tam z zamkniętymi oczami aż do zmierzchu. Gdy otworzył oczy, rodzice siedzieli już przy kolacji.

Matka zaproponowała mu, aby coś zjadł.

Udał, że nie słyszy i znów zamknął oczy. Ach, było mu tak wszystko jedno.

Mimowoli jednak słyszał rozmowę rodziców, z której dowiedział się, że wspaniałomyślni księżstwo nie dali dymisji ojcu za winy syna. Nie dość na tem, postanowili się nadal chłopcem opiekować, ale pod warunkiem, aby wyjechał raz na zawsze stąd i już nigdy się tu nie pokazał.

Chcą go wysłać zagranicę, gdzie oddadzą go na pensjonat.

Głównie o to chodzi, aby nie kalał swym wzrokiem księżniczki i nie doprowadzał swym widokiem starego księcia do wściekłości.

Gdy słuchał tych projektów na przyszłość, jakieś nowe nadzieje zaczęły wstępować w jego zwątpiałą duszę. Może więc wyjedzie stąd na zawsze zagranicę. O, za żadne skarby nie wróci tu. Będzie się starał zapomnieć nawet Halę.

I zaczął marzyć o nowej, nieznanej przyszłości, zdala od wszystkiego tego, co jego dzieciństwo przepełniło goryczą i zwątpieniem.

Ukołysany temi marzeniami i zmęczony przejściami, zasnął twardo, że nie czuł, jak matka nakryła go troskliwie jakimś pledem.

XII.

Wkrótce po zajściach w pałacu Marek opuszczał na zawsze dom rodzicielski.

Guwerner miał odwiedzić Adolfka do krakowskiego uniwersytetu na wydział agronomiczny, a przy

sposobności miał też Marek umieścić u swego znajomego, który utrzymywał stancję dla uczniów. Guwerner z Adolfkiem jechali pierwszą klasą, a Marek ze swym skromnym tobołkiem — trzecią. Rozglądał się przez szyby wagonu po nieznanych mu nowych okolicach i myślał o tej zasadniczej zmianie, jakiej uległo teraz jego jednostajne życie.

Gdy odjeżdżał bryczką na kolej wraz z odprowadzającymi go rodzicami, nie spojrzał nawet na sterczący dumnie wśród gąszczy zieloności pałac.

Przed odjazdem raz tylko jeszcze zwrócił swą myśl do tej, która była mimowolną sprawczynią jego wszystkich nieszczęść.

Postanowił sobie przytem, że ostatni to raz zaprzęta sobie nią głowę.

Poszedł pożegnać się ze swym wiernym Klamką, objął go mocno za szyję, ucałował go serdecznie i szepnął mu na ucho, że jeżeli kiedy spotka się z księżniczką, aby po swojemu oddał jej pożegnanie na zawsze.

Starał się teraz nie myśleć o tem ostatniem pożegnaniu ze swą przeszłością i myśl swą uporczywie kierował w stronę nowego okresu życia, który teraz miał otworzyć swe tajemne wrota.

Gdy przybyli do Krakowa, Marek prawie wcale nie oddalał się z hotelu, pełen jakiejś obawy przed obcem miastem.

Guwerner naprzód załatwił zapisanie młodego księcia do uniwersytetu, wyszukał mu odpowiednie mieszkanie i dopiero mógł się zająć zaczynającym się już nudzić w hotelu Markiem.

Z pewnym niepokojem Marek wkraczał w dom swego nowego mentora.

Gdy zaproszono guwenera i jego do stołowego

pokoju, zastał tam wszystkich domowników, skupionych koło stołu.

Guwerner z panem profesorem serdecznie się przywitali (byli to dawni koledzy), poczem guwerner przedstawił swego pupila.

Marek zażenowany kłaniał się niezgrabnie na wszystkie strony i usiadł skromnie do herbaty, którą go pani domu poczęstowała.

Zaczął się rozglądać po otoczeniu.

Pani domu, jeszcze niestara i wcale niebrzydka, wydawała mu się bardzo energiczną i ostro trzymającą męża i dzieci.

Dwie dziewczynki kilkoletnie, córki profesora, szeptały sobie jakieś uwagi o nowym sublokatorze. Obok Marka siedziało jeszcze trzech chłopców w gimnazjalnych mundurkach, byli to pensjonarze.

Sam profesor zrobił na Marku bardzo dodatnie wrażenie. Był jakoś frywolnie usposobiony, ciągle żartował, dowcipkował, przyczem chłopcy, a zwłaszcza dwie córeczki, wybuchały śmiechem, zatykając usta rękami, gdy matka na nie surowo spojrzała, a potem z politowaniem kiwała głową nad lekko-myślnością swego męża.

Marek mimowoli słyszał umowę, co do jego wikt i mieszkania, między guwernerem a profesorową.

Stanęli na tem, że Marek będzie spał na kanapie u jednego starszego sublokatora w tym domu, naco zresztą ten ostatni już jest przygotowany, gdyż dwa pokoje, w których mieszczą się pensjonarze, są zaciasne na to, aby mogły jeszcze kogoś pomieścić.

Marek niebardzo był zadowolony, iż będzie miał za towarzysza jakiegoś starszego pana (zaraz mu się stary książe przypomniał i dreszcz jakiś przeszedł go od stóp do głowy).

Wkrótce pożegnał guwenera, podziękował mu

za dotychczasową opiekę i pan domu zaprowadził go do jego nowego locum.

W dużym pokoju zastał dla siebie już posłaną kanapę i zaraz położył się spać. Na nowem miejscu jednak nie mógł długo zasnąć.

Przestraszył się trochę, gdy drzwi od pokoju skrzypnęły i wszedł jakiś jegomość, wyglądający na starego proboszcza, świecąc sobie zapalką.

Ów jegomość zapalił świecę, stojącą przy łóżku i spojrzał na nowego sublokatora.

Podszedł do kanapy i wyciągnął rękę do Marka, życzliwie się doń uśmiechając.

Marek usiadł na kanapie i uściśnął skwapliwie podaną sobie dłoń.

— Nowy pensjonarz? — zapytał nieznajomy pan.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Marek.

— No, dobrze — zauważył tamten — to teraz będziemy tutaj tak razem.

— A kawaler skąd pochodzi? zdaleka?

— Ja z Królestwa, ze wsi.

— Bardzo ładnie. Mam nadzieję, że kawaler nie będzie mi tu robił nieporządku i wogóle mi przeszkadzał. Prawda?

— O, tak — zapewnił Marek z przekonaniem.

Okazało się, że ten jegomość podobny do proboszcza, jest aktorem i, gwoli zmniejszenia mu przez gospodynię czynszu, zgodził się na dzielenie swego locum z nowym pensjonarzem.

Marek wkrótce zdał do gimnazjum do czwartej klasy i zaczął normalnie uczęszczać do szkoły. Te wstępne zajęcia pozwoliły mu zupełnie narazie zapomnieć o przejściach ostatnich tygodni i o całym okresie, który zamknął się za nim wraz z wyjazdem z rodzicielskiego domu. Jego przyzwyczajenie do samotności nie sprzyjało do zawiązania jakichś bliz-

szych stosunków z kolegami, z którymi mieszkał w jednym domu. Uczył się dość pilnie, co mu dużo czasu zajmowało. Jedyłą jego rozrywką było obserwowanie partji szachów, którą zwykle po obiedzie rozgrywali pan profesor i stary aktor.

Pani domu zwykle zrządziła na tę grę w szachy, gdyż zwykle zajmowali stół jakiś, który w danej chwili był jej do czego innego potrzebny.

Wogóle Marek zdefiniował stosunek męża do żony, że ona mu ciągle dokucza. On był niezwykle wesołego usposobienia, ona zaś przeciwnie, nadzwyczaj poważna i małomówna. Traktowała męża, jak małe dziecko.

Pobrali się, podobno, będąc oboje jeszcze słuchaczami uniwersytetu. Ona nadzwyczaj wykształcona, poważna, musiała porzucić naukę i zająć się dużym domem i całą masą kłopotów, związanych z zarządzaniem taką dużą maszyną.

Często mężowi wymawiała przy sposobności, ile ona poświęciła, wyrzekając się ulubionych studjów dla zajęcia się domem i wymawiała mu, iż nigdy nie będzie w stanie ocenić jej poświęcenia.

Z aktorem Marek żył w jak najlepszej zgodzie. Ale bo też był tu potulny, grzeczny i uczynny. Czuł się tu równym z równymi i nie potrzebował uważnie nasłuchiwać, czy nie chce go kto obrazić, jako to bywało w pałacu.

Służąca nazywała go paniczem, co pochlebiało jego dziecięcej próżności.

Pewnej niedzieli po śniadaniu czytał książkę w stołowym pokoju.

Pan profesor gził się jak smarkacz ze swojemi córeczkami. Łaził na czworakach po podłodze, a dwie małe dziewczynki siadały mu na plecach, krzyczały przy tych figlach w niebogłósy.

Naraz weszła pani domu, nakrzyczała na niego, że nawet w święto nie ma przez niego spokoju, kiedy ma chwilę nad książką przepędzić i mąż jak niepyszny otrzepał zakurzone kolana, szepnął do córek:

— Sza, dosyć tego, mama zła. Trzeba uciekać. Dziewczynki ucichły i posmutniały.

Profesor wyszedł z pokoju.

Po chwili zajrzał znów już w kapeluszu i paltocie i zapytał Marka:

— Nie poszedłbyś z nami? Stara zła dzisiaj, jeszcze i tobie się co oberwie.

— Bardzo chętnie, — zgodził się Marek na propozycję i poszli wraz z aktorem.

Celem ich wycieczki była mała narożna knajpka bardzo podrzędnie wyglądająca.

Usiedli we trzech przy stoliku, gdzie zaraz zjawiała się usługująca kelnerka.

— Jak zwykle? — spytała panów.

— Naturalnie, — odparł aktor.

Wkrótce zjawiała się na stole butelka wódki, śledź i chleb.

Marek rozglądał się po pokoju. Siedzieli tam jacyś rzemieślnicy, dorożkarze, baby, wyglądające na przekupki.

Panowie wypili po jednej wódce, zagryźli śledziem, którego i Marek skosztował, a potem kelnerka przyniosła każdemu po talerzu wyśmienitego żuru z kielbasą.

Jak się później Marek przekonał, ten żur z kielbasą, w tej zakazanej knajpie, był dla profesora i aktora niezbędną okrasą niedzieli. Przywykli tam zawsze bywać, gdzie żur z kielbasą był stale w niedzielę na spisie jadła.

Żony nie lubią nawet najniewinniejszych przyzwyczajęń mężów.

Pani profesorowa twierdziła, że ten żur przeszedł

u niego w manję, że ona niepotrzebnie trzodzi się z gotowaniem obiadu w niedzielę, gdyż mąż i sublokator po tym żurze nie mają zwykle apetytu. Częstych sprzeczek przyczyną był ten nieszczęsny żur z kiełbasą.

Profesor wrócił w jaknajlepszym humorze do domu. Córki zaraz zaczęły go molestować, by im co zagrał na pianinie, on im zagrał i zaśpiewał do tańca:

„A gdzie ten, a gdzie ten
kusy Janek, co chodził z toporkiem?
Kijem się, kijem się opasywał,
Podpierał się workiem.
Wodę brał przetakiem,
Wróble strzelał makiem.
Woda się, woda się zapaliła,
Ryby się popiekły,
Osmalone szczupaki do lasu uciekły”.

Na to weszła nachmurzona pani domu z wymówkami, iż ojciec uczy takich niedorzeczności swoje córki.

— Jak tu się staram, aby je jak najbardziej rozwinać, a on im takimi banialukami głowy zawraca. Ładnyś ty ojciec.

— Przecież to dziecinna piosenka, — próbował bronić swego stanowiska ojciec.

— To dla dzieci kretynów, a nie dla dzieci rodzi-ców inteligentnych.

Ku żalowi dziewczynek ojciec zamknął pianino i na chwilę starał się spoważnieć.

Marek ciągle był świadkiem takich nieporozumień małżeńskich i żał mu było wesołego profesora.

Kiedyś w jego klasie skończyły się wcześniej lekcje i wróciwszy do domu obserwował przez okno, jak uczniowie wychodzili z gimnazjum, znajdującego się

po drugiej stronie ulicy. Śnieg właśnie pierwszy upadł i mróz ściał wodę w rynsztokach. Rzadko który uczeń ominał sposobność poślizgnięcia się, na włożonym lodzie rynsztoka.

Pani profesorowa wyglądała przez okno obok Marka.

Właśnie jeden z jej pensjonarzy ślizgnął się po rynsztoku i skierował potem swe kroki do domu.

— A to smarkacz — zauważyła pani — jak to łatwo może nogę złamać.

Teraz wyszedł sam pan profesor, jej mąż.

Zauważywszy wyslizganą powierzchnię rynsztoka, obejrzał się przezornie, czy go kto nie widzi i jak mały ulicznik ślizgnął się przez całą długość rynsztoka.

Pani profesorowa oblała się rumieńcem.

Z tego, zdawaćby się mogło, błahego powodu, były potem bardzo przykre wymówki i wyjaśnienia.

— Biedny profesor — myślał sobie Marek.

Tego dnia ośmielił się na ten temat zacząć rozmowę ze swym szlafkamratem.

Tego wieczora stary aktor wrócił wcześniej; widać nie grał w teatrze dnia tego i wrócił z jakiejś „popijawy”, jak on nazywał posiedzenia w knajpie, zakrapiane obficie, niż zazwyczaj wódeczką.

Gdy Marek wszedł do pokoju z zamiarem położenia się spać, zastał go już rozebranego w łóżku, palącego cygaro, które pewnie zaczął jeszcze w knajpie i śpiewającego ochryplym głosem starą piosenkę: „O gwiazdeczko, coś błyszczała, gdy ja ujrzałem świat”.

Chłopak odrazu zauważył jego niezwyklej stan podniecenia. Lubił z nim w takich razach wchodzić w pogawędkę, gdyż ten zazwyczaj mało mówny towarzysz nabierał pod wpływem alkoholu niezwyklej swady i z chęcią wywnętrzał się nawet przed Markiem ze swoich różnych niepowodzeń życiowych, co prze-

platał ciekawemi sentencjami, a nieraz też opowiadał swe przygody cygańskiego żywota.

Stary, ujrawszy Marka, wypuścił kłęb dymu i zaczął go:

— Jak się masz, stary.

Marek narazie obruszył się na to traktowanie go per „stary“, widział w tem kpiny z jego młodzieńczego wieku, ale wkrótce przywykł do różnych dziwactw swego przymusowego towarzysza, więc i do tego także.

— Znów dziś była awantura z panią profesorową — zaczął Marek, rozbierając się.

— He he, a o co?

— O to, że profesor ślizgał się po rynsztoku.

— Nie? Na serjo? Ślizgał się?

— Sam widziałem.

Aktor zaniósł się od śmiechu i zakasłał astmatycznie.

— Niech mi pan powie, co tej jego żonie zależy na tem, żeby jej mąż nie ślizgał się, tylko szedł poważnie do domu. Bo ja rozumiem, że się strofuje uczniów, ale dorosły człowiek sam chyba wie, co robi i sam zato odpowiada.

Aktor odchrząknął, zamyślił się chwilę i zaczął:

— Mój drogi, widzisz, w życiu są dwie role, które na siebie bierze człowiek: młota, albo kowadła; albo weń biją, albo on bije. W tym wypadku już wiesz chyba, kto tu jest młotem, a kto kowadłem.

— No tak, rozumiem.

Aktor usiadł na łóżku i mówił dalej. Snać ten temat nadał się jego usposobieniu obecnemu.

— Jeżeli nie będziesz się wtrącał do twego otoczenia, to wszyscy wtrącać się będą do ciebie.

— A jak ktoś nie ma usposobienia wtrącania się do innych, jeżeli tego nie znosi tak silnie, jak tego, gdy kto się do niego wtrąca?

— Wtedy jest kowadłem.

— I to tak musi być?

— Zawsze tak jest. Najważniejszą rzeczą jest myśleć o swoim stanowisku wobec otoczenia. Trzeba się zastanawiać jak każdy krok w życiu postawić, aby moje stanowisko na tem nie ucierpiało. Trzeba mój stary, politykować nie tylko wobec obcych ludzi, kolegów, przełożonych, interesantów, z którymi się stykasz, ale nawet wobec najbliższej rodziny. Uważasz, że córeczki naszego profesora bardzo są do niego przywiązane, bo też nikt je tak nie potrafi rozerwać, jak ojciec swemi pustotami, graniczącemi nieraz z szaleństwem, ale, bądź przekonany, że z czasem zawsze będą brały stronę ich poważnej i statecznej matki, uważając ojca za sobie równego szalawicę, któremu matka słusznie, od czasu do czasu, natrze uszu.

Nastała chwila ciszy. Marek okrył się po szyję kołdrą i myślał nad tem, co teraz usłyszał od swego towarzysza. Ten był dziś nastrojony do gadania, zapalił cygaro, które już było zgasło i znów mówił.

— Nie możesz sobie jeszcze wystawić, jak ważną rzeczą jest zemsta. To jest czynnik, któremu za małą wagę ludzie w życiu przywiązują. Należy umieć się mścić, a nadewszystko nie zaniedbywać za każdą krzywdę zemścić się skrupulatnie. Oho, mój stary, niech tylko ludzie zwąchają, że nie jesteś mściwy, że chętnie zapominasz urazy, jużes przepadł. Jak na pochyłe drzewo wszyscy skakać na ciebie będą, pewni, że im nie oddasz pięknem za nadobne. Tak się ma z jednostkami i z całemi partjami, narodami, religjami. Naprzykład nas, polaków, znają z naszej dobroduszości, to też śmiało nas wywłaszczają, biją, rozdzierają na kawałki, bo wiedzą, że gdyby nam się kiedyś los uśmiechnął, bylibyśmy na pewno wspaniałomyślni. Wierz mi, że niemcom nigdy się nie przytrafi nic podobnego, co nam w historii. Pani profesorowa, gdy się

pokłóci z mężem, mści się za swoje. Kwasy trwają długo, póki wesoły małżonek nie przebłaga swej rozgniewanej żony. Jemu możesz deptać po odciskach. Łada życzliwy uśmiech, już on zapomina uraz i kontent jak dziecko gotów przed żoną koziołki fikać na dywanie z radości, że zapomniano krzywdy, jaką mu wyrządzono.

— Czy można zgasić świecę, będziemy mówić pociemku? — spytał Marek.

— I owszem — odparł aktor.

Marek zgasił świecę i w ciemności widział tylko palący się w ustach swego szlafkamrata czerwony punkcik cygara.

— Pan musiał dużo przeżyć i wielu rzeczy doświadczyć. Pan zapewne nigdy nie był kowadłem, — zauważył Marek, nabierając specjalnego szacunku dla tego mądrego życiowo pana.

— Przeciwnie, byłem kowadłem. Jestem i będę — usłyszał niespodzianą odpowiedź.

— ?

— Tak, mój stary. To już jest przeznaczenie. Z tem się człowiek rodzi. Naturę zmienić trudno.

— Proszę pana, niech mi pan jeszcze powie, bo pan tu już dość dawno mieszka, co to jest z tym niedzielnym żurem z kielbasą w tym szynku?

— He he, mój drogi: żur z kielbasą „pod capkiem“, to cała tragedia Ostapińskich i ja osobiście jestem jej winien.

— Jakżeż to?

— Ze dwa lata temu przypadkowo znalazłem się „pod capkiem“, gdzie mi zasmakował żurek z kielbasą. No czy niedobry?

— Pyszny.

— No, więc. Dowiedziawszy się, że to danie bywa co niedziela w tym lokalu, raz namówiłem Ostapińskiego, aby tam ze mną poszedł. Żur mu zasmako-

wał i od tej pory prawie niema niedzieli, abyśmy tam nie uczęszczali. Ba, ale panią Ostapińską zaczęło to irytować, że mąż wpadł w manję żurową. Zaczęła nam codzień żur gotować. Mąż miał nieostrożność lekko-myślnego człowieka zauważyć, że żur domowy nie umywa się do tej zupy w knajpie. Ach, mój stary, potem były płacze, potem żur został na zawsze wymazany z menu domowego, potem na jakiś czas musieliśmy zerwać zupełnie z capkiem, aby panią O. uspokoić zupełnie. Raz, natrafiwszy na wyjątkowy humor pani domu, udało mi się i ją namówić na pójście z nami, z dziećmi po kościele „pod capka”. To śniadanko było tym razem nad wyraz nieudane. Żurek jej wcale nie smakował, odstawiła go daleko od siebie, dzieciom też zabroniła jeść, aby się nie rozchorowały, gdyż w takim szynku, to Bóg wie na czym to świństwo gotują. Od tej pory tylko wymykamy się prawie pokryjomu, aby zaspokoić nasze przyzwyczajenie, głupie, bo głupie, ale bądź co bądź przyzwyczajenie. Drugiem takim przyzwyczajeniem naszym jest gra w szachy. Pomimo to, że i pani sama rzadko, bo nie ma nato czasu, ale grywa w tę grę, jednak uważa nam to za drugi grzech śmiertelny i żeby nie to, że szachy są drogie, spaliłaby na pewno te wszystkie pionki, laufry i konie.

— Więc czegoż ona chce od męża, żeby co..?

— Tego niewiadomo i tego nikt nigdy się nie dowie. Uważa męża za smarkacza nieznośnego, którego, gdyby nie trzymać w karbach, stałby się wprost niemożliwym w pożyciu.

— Wie pan, ale to musi być szalenie przykro zdawać sobie sprawę z tego, że jest się kowadłem i tak beznadziejnie znosić swoją upokarzającą rolę.

— Przykro to jest; mówi się wtedy powszechnie, że się ma pecha. Byłoby bardzo ciężko żyć tak, gdyby nie odrobina artystycznej fantazji. Te chwile

omamienia własnego rozsądku, te marzenia napoły dziecinne, napoły warjackie godzą zrozpaczonego człowieka z ohydą życia, ze wstrętnem zapładnianiem swoich dni beznadziejnością i założeniem rąk.

— Jakto proszę pana?

— Takto, mój stary. Kiedyś przyjdiesz do przekonania, że życie jest we wszystkich swych objawach podłe, ludzie źli, cały świat idzie z każdą godziną ku gorszemu. Postęp? He, he, mój stary. Postęp w łajdactwie, w spekulacjach handlowych, w oszustwach politycznych. Postęp w wyzysku słabszych, w ogłupianiu głupich, w deprawowaniu łatwowiernych. A cóż to są wzniosłe ideały, hasła wszechludzkiego dobra, altruizm... To są sposoby wyzyskiwania pocziwości ludzi pocziwych przez bliźnich wyrafinowanych i wyrachowanych. Mój stary, wszak wyraz „pocziwy” jest dziś synonimem idjoty.

Gdy się przyjdzie do przekonania, że demokratyzacja świata, to nowy sposób tumanienia tłumów przez złośliwych filutów, że postęp, to jest tylko taki, o jakim ci przed chwilą wspominałem, że dla ciebie oświście nic nie dojrzewa takiego, co by mogło choćby w najdalszej przyszłości dać cię twej skołatanej głowie i owoc spragnionym wargom, że jedyna pewna i ostateczna wygrana na loterii życia, to choroby i śmierć, ach, wtedy coż ci pozostaje?

— Właśnie, co?

— Pozostaje ci tylko marzenie. Im masz bujniejszą fantazję, tem silniej potrafisz wmówić w siebie, żeś szczęśliwy, że świat jest piękny, że słońce świeci, gdy chmury ołowiane robią noc z dnia, że dryndziarska szkapa, to wspaniały rumak, możesz go wówczas nazwać Rossynantem, a dziewczkę od krów mianować boską Dulcyneą z Tobozzo. Ciebie świat nazwie chętnie Donkiszotem, ale kpij sobie ze świata

i ludzi, cóż oni ci są dać w stanie wzamian za twe marzenia? G...o.

Na chwilę zapanowało w pokoju milczenie przerywane rytmicznym tykaniem ściennego zegara.

Aktor poprawił się na posłaniu. Rozgadał się dziś, jak nigdy i dalej mówił:

— Niekażdy ma ten dar upiększania sobie życia, to już prawdziwie nieszczęśliwi ludzie; ci szukają najczęściej sztucznych podniet dla swej fantazji: morfina, haszysz, alkohol. Coraz nowe wymyślają środki usłudni handlarze dla tych nieszczęśliwych ludzi: masz zupełnie nowe wynalazki od niedawna modne: eter, kokaina i wiele innych. A czyż sztuka, a zwłaszcza muzyka, nie są wyrazem tej wiecznej tęsknoty do czegoś lepszego. Szczęśliw ten, któremu sztuka pozwoli zupełnie zerwać z filisterskim życiem i niepodzielnie zapanuje nad jego wyobraźnią. Iluż to ludzi ucieka od życia do narkozy, do klasztoru, do sztuki? Znałem pewnego staruszka, który całe życie pracował w biurze. Pracował bardzo intensywnie i ta praca, której zresztą serdecznie nie lubił, pozwalała mu zapominać o nędzy tego świata, dawała mu chleb powszedni, a zaoszczędzony grosz ułatwiał mu nabywanie ulubionych książek, w których towarzystwie spędzał każdą wolniejszą chwilę. On był naprawdę szczęśliwy. Kochał te swoje książki, chronił je, jak ojciec najukochańsze swe dzieci i żył tak poza światem, poza społeczeństwem. Kiedy byłem jeszcze bardzo młody, a marzyłem o laurach scenicznych, dawano mi do grania w repertuarze klasycznym zwykle role tego rodzaju, jak „rycerz drugi“, lub „mieszczanin pierwszy“, zaś w dzisiejszych sztukach, stałe popisywałem się w rolach „Jana — kamerdynera“ lub „woźnego“. Umiałem wtedy Otella na pamięć. Ach, ileż razy deklamowałem całe ustępy z tej tragedji w mym pustym kawalerskim pokoiku? Z jakąż emfazą kłania-

łem się łaskawej publiczności za jej ogłuszające oklaski.

— Chyba w starszym wieku, to takie rzeczy przestają bawić?

— Jakbyś zgadł, mój stary. Nawet dziś uwierzyć mi trudno, że to ja, ten sam ja, mówiłem całe arkusze roli, gdy nikt tych moich wysiłków nie słuchał i za mój trud nikt nie płacił. Z wiekiem przychodzą inne satysfakcje. Wszystko ma swój czas. Teraz, gdy czasem sobie więcej podochocę w miłym towarzystwie, gada się o tem i o owem, wspomnienia miłe (wspomnienia przeważnie są miłe), zabawne epizody, projekty na przyszłość. Gada się, aby gadać, nie mając na oku żadnego praktycznego celu — to też odrywa nas od wstrętnej rzeczywistości... Dziś także trochę sobie tego... Nie wiem czyś zauważył?

— Owszem, odrazu.

— A widzisz. Położyłem się w ciepłym łóżku, nic mi nie brak, jutro dla mnie nie istnieje narazie. Będę cudnie spał, czuję to. Nim zasnę, pomarzę sobie trochę. Niby to ja mam już emeryturę. Za uciulany kapitałik kupiłem sobie domek z ogródkiem, w domku oto tym zasypiam teraz błogo, jutro wstanę zrana, by podlać kwiatki w ogrodzie, jutro będzie bajeczna pogoda, bajeczna... powiadam ci, mój stary.

I znów milczenie zapanowało między nimi.

Stary aktor zaczął nucić swym ochrypłym głosem:

„O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdym ja ujrzał świat,
O gwiazdeczko moja mała,
Twój promyczek zbladł.
Prędkoś, prędkoś żeglowała
Po błękitnem tle,
O gwiazdeczko, moja mała,
Wiodłaś ty mię źle”.

Ostatnie tony już były wykonane mruczando i stary marzyciel zasnął; niedopałek żarzącego się cygara spadł na kołdrę.

Marek wyskoczył z łóżka, zgasił ogryzek i, zawinawszy się w kołdrę, zaczął dumać o tem wszystkim, co od tego gaduły dziś słyszał.

W trakcie tych rozmyślań przysły mu do głowy, a raczej zaczynały przychodzić obrazy z przeszłości. Z przeszłości tak niedawnej, a tak już dziś dlań dalekiej. Jakiś pejzaż zarysował się w jego wyobraźni szeroki, melancholijny, zda się nieskończony widok na stok górki, zieleniejącej wiosenną trawką, a dalej na obszerne łąki, zalane wodą, olszynę szarzejącą wdali swemi bezlistnemi gałęziami, las ciemno-niebieski, a dalej znów jakieś łąki i znów lasy coraz bledsze w kolorze, coraz dalej rozplywające się w szafirze bezchmurnego, wiosennego nieba.

Tak, ta górka w zimie pokrywa się śniegiem, można z niej zjeżdżać na saneczkach. Naraz uczuł Marek ukłucie w samo serce i nieznosne gniesienie w dołku. Przewrócił się gwałtownie na drugi bok, nakrył się kołdrą na głowę, jakby broniąc się przed nawałą bolesnych wspomnień. Aby nie myśleć o tem, o czem pragnął na zawsze zapomnieć, zaczął monotonicznie powtarzać szeptem cyfry jedna po drugiej: raz, dwa, trzy, cztery... Zasnął, jakby pod wpływem chloroformu.

Tej nocy przyśnił mu się jakiś pan w żółtej szerokiej jedwabnej szacie, który prowadził Marka za rękę, przez jakieś nieskończenie długie korytarze. Te korytarze były coraz węższe tak, że z trudem przeciskał się przez nie i dziwił się tylko, że ów jegomość w żółtej szacie, choć od niego okazalszy, tak łatwo prześlizga się przez tak ciasne przejścia. Naraz korytarze się skończyły, wielka radosna jasność uderzyła jego oczy i usłyszał głos anioła, kiwającego się na wierzchołku bajecznej choinki.

I usłyszał anielski głosik, znany, znany głos:

— Marciu, Marciu...

Obudził się.

Służąca trącała delikatnie go w ramię, oznajmiając, iż czas już do szkoły.

Niechętnie zaczął się ubierać. Śnieg padał i aż się otrząsał na myśl, że musi wyjść na ulicę.

Spojrzał na swego towarzysza. Stary aktor spał jak zabity, chrapiąc na różne tony i sposoby.

Czy też śni mu się domek z ogródkiem i emerytura?

XIII.

Marek, oczywiście nie miał w Krakowie żadnych znajomości i gdy inni chłopcy, stojący z nim na stancji co niedziela z ochotą wrywali się z domu do swych krewnych czy znajomych, Marek zostawał sam i odrabiał lekcje, lub czytał książki, aby rozerwać nudę i nie wpaść we wspomnienia, których obawiał się jak ognia. Słyszał o wypadkach, że pod wpływem choroby człowiek czasem zatracą pamięć o przeszłości, pragnął całą duszą, aby jemu się coś podobnego przytrafiło. Wszak miał już nigdy a nigdy nie zobaczyć miejsc, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo. Już nigdy tam nie wróci. Pod tym warunkiem ojciec jego został na posadzie, a on nie został pozbawiony opieki swych dobroczyńców. Skoro nigdy tam nie wróci, czemu myśl jego wraca tam tak uporczywie, gdy tylko zostaje bez zajęcia i towarzystwa. Trzeba unikać samotności i bezczynności. Cóż kiedy te święte niedziele są takie długie, nieznośnie długie.

W gimnazjum miał kolegę, o którego opiekunie, gdyż ojca już nie miał, mówiono, że jest przygłupi... tego jedynie powodu koledzy ukuli sobie motyw do prześladowania biedaka. Na jego nieszczęście miał

na imię Florek, więc któremuś chłopcu przyszło r
do głowy zrymować w ten sposób:

„Florek

Zapnij rozporek!”

I jak tylko Florek chciał się odgryźć dokuczaj
cym mu kolegom, zaraz słyszał ten dwuwiersz, któ
go do rozpaczki doprowadzał.

Marka oburzał ten stosunek kolegów do biedne
ucznia i nieraz dawał on temu odpowiedni wyraz. Fl
rek, widząc w Marku jedynie sobie życzliwą dus
wśród całej klasy, polubił go bardzo i najwięcej w
go towarzystwie przebywał na pauzach. Dawniej,
dobno, Florek zapraszał do domu swego opiekuna
legów, gdzie mogli wyprawiać tysiączne figle, g
opiekun był bardzo pobłażliwy, a jak potem o
mówiono, przygłupi, ale z tej gościnności dla Flo
wynikły nieobliczalne skutki.

Jeden z małych gości ośmieszył dziwaczne
opiekuna, nazwał go przygłupim, skarykaturow
w opowiadaniu swem cały dom i biedny Florek
długie czasy stał się pośmiewiskiem i popychadł
klasy.

Marek długo nie mógł zrozumieć, co w to
wszystkiem było i nawet pytał o to Florka.

Ten zbywał go byle czem, mówił, że koledzy
świnie, że to są głuptasy, których nie warto do siebie
zapraszać, a raz się przyznał, że swoją drogą je
stary nie jest zupełnie normalny.

Marek czuł, że Florek nieraz miał chętkę go
siebie zaprosić, tembardziej, że często do niego
stancję przychodził, gdzie razem lekcje przygotow
wali. Florek najwidoczniej obawiał się, aby wra
nie, jakie na nowym gościu wywrze opiekun, nie
psuło przyjaźni, jaka między dwoma chłopcami do
panowała.

Kiedys jednak nie mógł widać już wytrzym

przy swej wrodzonej gościnności i zaproponował Markowi, aby go odwiedził w niedzielę zaraz po kościele.

Marek chętnie przyjął zaprosiny, zwłaszcza, że obawiał się nudów świątecznych na stacji. Profesor udzielił mu łatwo pozwolenia na wizytę u kolegi, tembardziej, że był to pierwszy urlop od przybycia jego na stację.

Gdy tylko przestąpił próg ośmieszonego przez kolegów swych mieszkania, powitał go na wstępie jakiś dziwny jegomość w szlafroku i odrazu wyczałował go, jakby dobrze znajomego.

Florek, który przyprowadził go tu z kościoła, z niepokojem obserwował Marka, czy go czasem nie razi dziwne zachowanie się opiekuna.

Opiekun kazał zaraz podać służącej trzy filiżanki czekolady z pianką, przyczem rozkaz ten wypowiedział do dziewczyny w nieznanym Markowi języku.

Gdy zaczęli spożywać śniadanie, opiekun zdjął z nosa olbrzymie okulary o zielonych szklach i nie przestawał obserwować gościa swemi zaczerwienionemi, niepokojącemi oczami.

Dziwaczny pan w szlafroku, o długich włosach i nieporządnej brodzie, przypominający średniowiecznego astrologa, dopytywał się Marka, jak mu studja idą, czy także prześladuje Florka, jak inni koledzy, czy także po tej wizycie przestanie u nich bywać. Zażenowany chłopiec odpowiadał monosylabami i czuł się dziwnie nieswojo, żałował, że przyjął zaprosiny.

Dziwak znów zawołał służącą, znów powiedział coś w nieznanym języku i dziewczyna posprzątała ze stołu.

— Dziękujemy za czekoladę—zagadał Florek—teraz sami się zabawimy; może zagramy w halnę, albo w warcaby.

Znać było, że chciał gwałtem pozbyć się towarzystwa opiekuna.

Stary jednak, jakby nie rozumiejąc o co idzie jego pupilowi, przerwał:

— A możeby kawaler chciał być uśpiony?

Marek zrobił wielkie oczy.

Nie, wcale mi się spać nie chce.

— Ba, ale kawalera mogę tak zahypnotyzować, że choć nie chce, spać musi.

— E, niech mu opiekun da spokój—przerwał mu niecierpliwie Florek — on przyszedł się ze mną pobawić.

Opiekun i tym razem nie dał za wygraną:

— Może kawaler nigdy nie widział, jak się hypnotyzuje?

— Nie, nie widziałem. Słyszałem o tem dużo.

— A chciałby kawaler coś takiego zobaczyć?

— Chciałbym, naturalnie. To musi być ciekawe. Florek posmutniał i odszedł nabok.

Stary klasnął w ręce i weszła służąca.

— Alentana — rzekł do niej pan — girro danin chado.

Ona skinęła mu nato głową i usiadła zaraz na krześle.

Pan zaczął nad służącą wykonywać jakieś tajemnicze pasy, wpatrując się uporczywie w jej oczy i ta w parę minut usnęła.

Gdy przemówiła głosem, jak przez sen: „O minio pachadastin“, gospodarz zaczął z nią robić różne eksperymenty: kazał jej chodzić na czubkach palców, co wykonywała, jak baletnica, kazał jej na głowie nosić wazon z kwiatami, a wreszcie zaproponował jej, aby policzyła, ile Marek ma pieniędzy w kieszeni i aby to powiedziała w zwykłym ziemskim języku. Dziewczyna w jednej chwili wyjawiała dokładną cyfrę

i zdumiony Marek, policzywszy swe skromne fundusze, przekonał się, że zahypnotyzowana nie omyliła się ani na jotę.

Gdy ją obudził, rzekł jej:

— Bona finto girro.

I służąca odeszła do siebie.

Marka ogromnie to wszystko zainteresowało. Zapytał się, między innemi, jakiej ta dziewczyna jest narodowości i po jakiemu ten pan się z nią porozumiewa.

— Ona jest polka, jak i my. Jest to moje mędjum, bardzo dobre, mówiąc nawiasem. Wiele służących musiałem oddalić, zanim na tę natrafiłem. Mówimy z nią językiem wewnętrznym. Jest to mowa pozaświatowa, której używają duchy, gdy pozbędą się swych szat cielesnych. Dziś rzadko kto zna ten ciekawy język. Jest on bardzo pomocny przy wszelkich eksperymentach wiedzy tajemnej.

Marek spojrzał na mówiącego wielkimi oczami i z pod oka na Florka.

Ten siedział w kącie i bardzo był niezadowolony z przebiegu pierwszej u niego wizyty Marka.

Gospodarz ciągnął dalej:

— Gdy powiem: „musisz zasnąć”, ma to znacznie mniejszy skutek, niż, gdy wyrażę to samo słowami: „optini poga”. Florka też czasami usypiam, ale on tego nie lubi. Florek, daj się uśpić, zrób to dla gościa.

— Daj mi, opiekun, pokój — odburknął rozgniewany.

— Jabym chciał spróbować, jakie to robi wrażenie — ośmielił się Marek.

— I owszem, proszę bardzo — uradował się stary.

Posadził Marka na krzesło i zaczął swe manipulacje:

— Teraz proszę się bezwzględnie poddać mej woli i nie zasypiać. Czy jesteś zupełnie normalny, nic nie czujesz niezwykłego?

— Nie.

— Teraz, gdy każę ci wstać z krzesła, nie będziesz mógł tego uczynić. Będziesz usiłował wstać, lecz nogi odmówią ci posłuszeństwa. Wstań, no, wstań!

Marek zbladł, chciał wstać, ale jakiś paraliż odjął mu wszelką władzę w nogach. Było to uczucie nad wyraz przykre.

Gdy hypnotyzer pozwolił mu wstać, czuł jakby siły nowe słowa starego wlewały w jego bezwładne nogi i zerwał się sprężysto z krzesła.

Eksperyment z usypianiem udał się także, ale to dłużej nieco trwało. Kilka razy hypnotyzer powtarzał „muscisz zasnąć”, lecz sen nie przychodził. Nareszcie stary użył swego wewnętrznego języka i na jego „optini poga”, Marek powoli zasnął.

Gdy się obudził, siedział na kanapie i nie mógł w żaden sposób przypomnieć sobie, co się z nim w czasie jego nieprzytomności działo.

Ta myśl, że pewien okres czasu jest zupełnie wykreślony z jego pamięci, była mu przykra, a jednocześnie napawała go nieokreślonem zadowoleniem. Zdawało mu się, że na chwilę oderwał się od życia i bujał zdala od świata i od bytu doczesnego.

Florek błagał go na wszystko, aby nikomu nie mówił o tej wizycie, żeby nie dawać złośliwym kolegom sposobności do nowych wyśmiewań.

Tej nocy Marek, gdy nie mógł dłuższy czas zasnąć, powtarzał sobie w łóżku: „Optini poga, optini poga”.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Chłopcy z pensjonatu państwa Ostapińskich z niecierpliwością szykowali się do rychłego wyjazdu do swych domów. Tylko jeden Marek nie miał gdzie jechać na święta, gdyż na zawsze był wypędzony z rodzinnego domu. Zresztą nic go tam nie ciągnęło i sam za nic w świecie, by tam nie pojechał.

Gdy został sam ze starym aktorem i rodziną Ostapińskich, zabrał się energicznie do przygotowania lekcji na poświęta i gdy już z tem skończył, był zupełnie wolny i zaczynał się nudzić. Zaczął też prawie codzień zaglądać do Florka. Był tam świadkiem różnych dziwów.

Medjum opiekuna przepowiedziało Markowi kiedyś wizytę niespodziewaną.

Rzeczywiście, tego wieczora, gdy już się kładł spać, weszła służąca z zawiadomieniem, że ktoś przyszedł do niego.

Był to lokajczyk z pałacu. Przywiózł list od matki i wstąpił go odwiedzić. Przysłany był po księcia Adolfa, aby mu usługiwać podczas podróży do domu na święta.

Marek poprosił go, aby przed wyjazdem wstąpił po list do domu, który chciał napisać do rodziców na święta.

Gdy został sam, zaczął z jakimś dziwnym niepokojem odczytywać list. Mimowoli musiał teraz wkra-
dząc w zakazane dziedziny wspomnień, co przyprawia-
ło go o nierówne bicie serca i jakąś przytłaczającą
melancholję. Matka donosiła mu mnóstwo różnych
śladach wiejskich ploteczek. Pisała, że są zdrowi,
czego i jemu z całego serca życzą i dopiero na sa-
mym końcu listu wspomniała, jakby mimochodem,
księżniczce.

Marek uczył, jakby mu kto świeżo zabliźnioną ranę w sercu boleśnie zadrasnął. Położył list na stole i spuściwszy głowę, jakiś czas siedział bez myśli bez czucia. Potem znów z bólem serca wziął się do czytania. Łzy toczyły się jedna po drugiej na papierze listu, gdy czytał, iż Hala po jego wyjeździe często cichaczem odwiedzała Klamkę, w czym ją Fiukalska podpatrzyła, że przyniosła psu różne smaczne kąski z książęcego stołu. Francuzka mówiła matce jego, że raz słyszała księżniczkę nucącą starodawną piosenkę

„Piękne gwoździki, piękne tulipany,
Gdzieżeś ach gdzieżeś, Marku mój kochany,
Czyli cię wzięli żeglarze na morze,
Że się me serce utulić nie może”.

Na zakończenie matka życzyła Markowi wesołych świąt i dodała, że ich święta nie będą wesołe, gdyż księżniczka jest ciągle chorowita i wszyscy są bardzo tem zmartwieni.

I znów Marek pogрузił się w myślach o pałacu o matce, o groźnym starym księciu, o wszystkich poniżeniach i cierpieniach, jakich tam doznał, no i wreszcie o niej... Klamka, poczciwy, stary, wierny Klamka.

Ten, którego on się zaparł haniebnie w dzieciństwie, gdy psa w pałacu przejechał wózek paralityka Poczciwa psina i czy i on go wkrótce „obcą przywita paszczką”. Więc nie zapomniano wyrzutka społeczeństwa w pałacu, a on nie myślał wcale o nikim przez ten czas.

Tak, ale nie zapomniał też, niestety. Pamięta i pamiętać będzie.

— Hala, Hala!... — zapłakał na głos i zakrywszy dłońmi twarz, rzucił się na swoją kanapę.

Wśród nocy obudził go stary aktor, wróciwszy

późno do domu i zastawszy go w ubraniu leżącego na kołdrze.

Rozebrał się i starał się nie podtrzymywać rozmowy ze swym towarzyszem.

Stary wkrótce zachrapał, lecz Marek do rana ani oka nie zmrużył. Wstał jak z krzyża zdjęty. Zalepił w kopertę kawałek opłatka bez słówka do matki, zaadresował i polecił służącej oddać to lokajczykowi księcia, gdy ten zjawi się po odpowiedź.

Z samego rana, bez śniadania, udał się do Florka, gdzie poprosił opiekuna, aby go uśpił i to na długo, gdyż jest moralnie wyczerpany.

Sen hypnotyczny sprawił mu znaczną ulgę.

Choć nie pamiętał, czy mu się co śniło podczas owego snu, ale przypuszczał, że jeżeli miał jakie marzenia, to te stanowczo wirowały koło dziewiczego pokoiku księżniczki w pałacu, koło krzaku dzikiej róży, pod którą zakopane spały ich wzajemne przysięgi, nad budą starego psa, Klamki.

Pokrzepiony snem hypnotycznym, postanowił sobie znów zerwać ze wspomnieniami, które nie przynoszą mu żadnej pociechy, lecz, przeciwnie, drażnią go i denerwują do najwyższego stopnia.

Przyznał się opiekunowi Florka, że sen, w który go hypnotyzer wprowadził, znacznie go pokrzepił i umocnił na duchu.

Opiekun zaraz zrobił chłopcom mały wykład na ten temat.

— Moi mili, toż to jest identyczne ze snem świątynnym u starożytnych greków i egipcjan. Tam, co jakiś czas, udawano się do świątyń, w których popadano w sen magnetyczny. Sen taki był błogosławieństwem dla zmęczonych życiem, uzdrowieniem dla chorych fizycznie. Niestety, wiedza tajemna, która w owych czasach bardzo wysoko stała, z wiekami została prawie całkowicie zagubiona. I dziś na nowo

trzeba badać, szukać i budować całą tę naukę od podstaw.

Marek wrócił do domu pokrzepiony na duchu. Nie wiedział jeszcze, jak się zapatrywać na starego dziwaka, ale w każdym razie czuł, że nie należy doń się tak odnosić, jak to czynili lekkomyślni koledzy szkolni Florka.

XV.

Ze wstydem Marek przyznał się aktorowi, że jeszcze nigdy w życiu nie był w teatrze.

Aktor wprost nie chciał wierzyć, aby taki duży chłopak...

Ale gdy duży chłopak wytłomaczył, że będąc raz w życiu przejazdem w Warszawie i od niedawna pierwszy raz w Krakowie, nie miał sposobności zapoznać się z tym czynnikiem kultury, aktor obiecał mu, że go weźmie na najbliższe odpowiednie jego wiekowi przedstawienie.

I był w tym przybytku złudy i fantazji.

Siedział, jak na jakimś czarodziejstwie. Podziwiał swych sąsiadów wśród publiczności, którzy w antraktach spożywali cukierki, rozmawiali o potocznych rzeczach, nie mających nic wspólnego z temi cudownościami, jakie rozgrywały się na scenie. Ach, co do niego, to był całkowicie pochłonięty samą sztuką, grą artystów, cudami sztuki dekoracyjnej i efektów świetlnych. Toż to istne czary, czego świadkiem uczynił go ten poczciwy stary pan, który z nim w iednym pokoju mieszka.

Z trudem, wśród małych ról, rozpoznał swego sublokatora, tak rzeczywiście wydawało mu się to wszystko i ci rycerze, książęta, poeci, tak byli prawdziwi. Prawdziwą przykrość sprawiło mu, iż jeden z poetów, w długiej czarnej szacie, z długimi włosami

mi, to nie żaden poeta, tylko ten sobie pan, którego Marek stale widuje, który chodzi w zwyczajnym kołnierzyku i krawaty wiąże jak najzwyczajniejszy śmiertelnik naszych czasów.

Zaczekał na aktora pod garderobami, aby z nim razem pójść do domu.

Aktor na wstępie zapytał chłopca:

— Jak ci się, mój stary, podobało?

— Ach, proszę pana, szalenie.

Aż złożył ręce z zachwyty.

— Wiesz co, mój stary — rzekł aktor — z okazji tych nowych dla ciebie wrażeń, zamiast wracać wprost do domu, zaprowadzę cię, pewnie także pierwszy raz, na kolacyjkę do restauracji.

Marek wymawiał się narazie tem, że co nato powie pani profesorowa, ale gdy aktor wytłomaczył mu, iż cicho otworzy swym kluczem mieszkanie i nikt nawet nie będzie przypuszczał, że Marek trochę później wrócił do domu, z ochotą zgodził się niezwykle podniecony i odpowiednio nastrojony do wszelkich ekstrawagancji.

Gdy weszli do restauracji, mentor Marka rozejrzał się po sali. Wszystkie stoły były zajęte. Marek już myślał, że jak niepyszni będą musieli lokal opuścić, gdy wtem, jakaś piękna dama, która sama jedna zajmowała stolik przeznaczony na kilka osób, kiwnęła na aktora poufale, wskazując mu krzesło przy stole.

— Chodźmy tam — zwrócił się do Marka — to moja koleżanka.

Gdy podeszli do owej damy, ta spojrzała wyzywająco swemi podmalowanemi oczami na Marka i zapytała aktora:

— Nic nie wiedziałam, że masz syna. Widzę, że go w świat wprowadzasz.

Aktor zaśmiał się i przedstawił swego młodocianego towarzysza:

— Pan Fiukalski, mój sublokator.

— I może pan z tym starym zrządą wytrzymać? — zapytała dama, patrząc przymrużonemi oczyma na Marka, jakby widok jego był jej dość miłym.

Głos tej pani wydał się Markowi djabelnie znajomy. Jakby słyszał ten ton mowy, ten sposób wymawiania przedłużonych samogłosek gdzieś, kiedyś...

Nareszcie dama, nie przestając impertynencko wprost obserwować Marka, zauważyła:

— Jako współmieszkańcy wcale do siebie nie pasujecie. Ty stary, łysy, nudny, a ten pan młody przystojny i pewnie bardzo interesujący.

Marek się zapłonił i spuścił oczy na ziemię. Teraz dopiero poznał, że tę damę widział i słyszał przed godziną na scenie. Tylko w sztuce była jakaś znacznie młodsza, choć zbliżona była może jeszcze piękniejsza.

Kolacyjka trwała krótko i przeleciała niepostrzeżenie.

Marek na ulicy był oszołomiony dzisiejszym widoczorem.

— Ach, proszę pana, dziękuję panu bardzo a bardzo za wszystko. Cudnie było tam w teatrze. Wie pan, że czasami zupełnie zapomniałem, że to wszystko udane. To wszystko jak sen, jak jakieś cudowne widzenie.

— Mój drogi, sami nie wiemy, co jest rzeczywistość, a co udanie, co teatr, a co życie. W życiu też gra się komedję i to prawie zawsze. Rzadko kiedy jest się naprawdę sobą. Więc powiadasz, że przedstawienie było piękne?

— Bardzo.

— W takim razie niech ci się zdaje, że to była prawda, że dekoracje, to prawdziwe drzewa, ogrody, pałace, aktorzy, to prawdziwi książęta, poeci, rycerze. Ależ tak, mój stary, to wszystko była prawda, naj-

prawdziwsza prawda. To już przeszło, ale to jeszcze nie dowód, żeby tego nie było naprawdę.

Aktor był podochocony większą ilością wina, które pił z koleżanką i tak dalej prawil:

— Wogóle tego, co ci się nie podoba, co niesmak w tobie budzi, tego niema, to nie istnieje. Zaś to, co się podoba, co sprawia przyjemne uczucia, to jest, to istnieje, to trwa. Rozumiesz? Niech przepada wszystko, co nie jest po naszej myśli. Jam dziś król, jam dziś pan, a ty mój przyjaciel.

Pocałował Marka w nos, chwyciwszy go z dwóch stron palcami za policzki.

Marek jeszcze długo nudził aktora pytaniami: jak się przyprawia takie długie włosy, że wyglądają jak naturalne, czy aktor, który grał „Cyrana de Bergerac”, to naprawdę w życiu ma tak wielki nos i czy umyślnie wynaleźli takiego człowieka na tę rolę, czy na scenie mężczyźni z kobietami naprawdę się całują, gdy rola tego wymaga i mnóstwo jeszcze zadawał mu tego rodzaju pytań, które każdy aktor zapewne nieraz słyszy nawet od ludzi dorosłych, a interesujących się teatrem od strony kulis.

XVI.

„Z rozkazu starszego Księcia Pana przyjeżdżaj natychmiast. Fiukalski”.

Marek trzy razy przeczytał depeszę, którą mu wręczył przy obiedzie profesor i po raz trzeci zdumiał się jej treścią.

Obecni zauważyli pomieszanie Marka i pani profesorowa dopytywała się, co też tak ważnego zawiera ta niezwykła korespondencja.

Marek przeprosił towarzystwo, że przerywa obiad,

nadmienił, że to nic nadzwyczajnego i poszedł do swego pokoju.

Poważnie był zaniepokojony; co tam znów ten stary despota wymyślił, aby go maltretować? Wiegno znów coś o nim postanowiono bez jego wiedzy? Ale on z rodzinnych stron wyemigrował na zawsze i nie myśli wracać na rozkaz tego starego paralityka. Czemu nie dadzą mu raz spokoju? On już o tem wszystkiem zapomniał, a tu ta głupia depesza znów wzbudza przebrzmiałe echa tych ubiegłych lat. Precz z nim! Precz z serca, myśli, pamięci. Ach, co za przykre stanowisko. Być na łasce tych książąt i czekać tylko ich rozkazu, co raczą o tobie postanowić. Jesteś bezwolnym rabem, zabawką w rękach tych magnatów. Ach, dość ma już tego. Nie żąda ich pomocy, nie chce wykształcenia, woli kamienie tłuc na szosie, a być panem swych kroków.

Trzeba było jednak coś postanowić.

Szybko pobiegł do urzędu telegraficznego i zadepeszczał:

„Wyjechałem raz na zawsze na niczyj rozkaz nie wrócę. Marek”.

Teraz cierpliwie oczekiwał rezultatu swej zachwałości i niewdzięczności (według ojca Fiukalskiego). Starał się odgadnąć, co z nim teraz będzie.

Może sam ojciec przyjedzie po niego? Przecież nie zniesie, aby Marek śmiał się kategorycznie przeciwstawić rozkazom księcia. Marek zdecydował się w tym wypadku na wszystko. Ucieknie gdzie i będzie o własnych siłach szukał kawałka chleba, a tam już nie wróci, nie wróci za nic.

Z wielkim też niepokojem otwierał następną depeszę, którą wkrótce otrzymał z domu:

„Śpiesz się, godziny policzone, chora księżniczka chce cię widzieć. Matka”.

Marek drgnął, jak piorunem rażony.

Nie miał czasu zastanawiać się, jak się tam to wszystko stało, skąd stary książę zdecydował się wezwać go do łoża konającej wnuczki — zrozumiał jedno, że Hala odchodzi i chce go widzieć, myśli o nim, kocha...

— Pyszałek, głupiec, smarkacz!... — wymyślał sobie Marek z rozpaczą, uderzając się pięścią w czoło. — Boże Wszechmocny, może nie zdąży jej zobaczyć wśród żywych.

Jakaś piekielna rozpacz załkała w jego piersi, straszny wyrzut sumienia tłukł się w jego znękanej duszy, jak szalenie zamknięty w szpitalnej klatce.

Oznajmił profesorowi, że odjeżdża najbliższym pociągiem do domu i odjechał.

Przystanki kolejowe zdawały mu się nieskończonymi, pociąg włókł się jak najgorsza towarówka. Rozigrane nerwy zdawały doprowadzić go za chwilę do jakiegoś szału. Opierał wtedy pałające gorączką czoło o zamarznąłą szybę wagonu i patrzył z rozpaczą w migające zbyt powoli telegraficzne słupy.

Na stacji zastał bryczkę po niego przysłaną. Dowiedział się od furmana, że konie z pałacu przysyłają po niego na każdy pociąg, tak jest tam niecierpliwie oczekiwany.

Chłop popędzał konie i niepytany objaśnił Marka o zmartwieniu, jakie panuje od dłuższego czasu w pałacu. Doktorzy i spowiednicy od paru dni nie opuszczają łoża chorej.

Z mowy gadatliwego sługi zauważył Marek, że na jego rachunek w rodzinie księstwa były jakieś niesnaski. Furman z ciekawością patrzył na tego ucznia, który odgrywał niepojętym sposobem jakąś ważną rolę w tej magnackiej rodzinie. Co też za plotki muszą tam krążyć wśród służby i oficjalistów.

Nareszcie wdali ujrzał majaczące kontury pałacu wśród grupy wiekowych drzew.

Serce mu gwałtownie zabiło, gdy zajeżdżał pędem przed domek, gdzie się był urodził, a skąd sądził był, iż na zawsze wyjechał przed paru miesiącami. Na progu powitał go stary kulawy pies, Klamka.

XVII.

Stary ksiązę ponury i groźniejszy niż zwykle, służba na palcach spełnia jego niecierpliwe rozkazy. Syn jego, pełen troski o życie ukochanej córki, nie może znieść okropnego nastroju w pałacu, kaszlu i jęków Hali, które duszę mu na kawały rozdzierają i większą część dnia spędza w polu zdala od żałobnych komnat. Księżna z oczami zapuchniętymi od ustawicznego płaczu snuje się, jak obraz rozpacz i żaloby po zimnych, obojętnych komnatach pałacu. Lekarze nie robią żadnej nadziei. Stary ksiązę przykuty do swojego wózka wie o tem i w duszy przeklina swe bogactwa, swoje wszechwładztwo, które nie są w stanie ocalić tej, która tu była dotąd tym jasnym promykiem dnia powszedniego. Ona jedna go się nie bała, ona jedna ośmielała się mitygować z prostotą i łagodnością jego porywczosć. Dziś ten jasny promień odchodzi tam, skąd przyszedł, do nieba.

Tak myśli o wnuczce stary ksiązę i tylko nie może jej darować jednego, co psuje całą harmonję jego o niej wyobrażenia.

Będąc już bardzo chora, Hala ośmieliła się w decydującej chwili wyjawić matce swą ostatnią wolę. Ona chce go zobaczyć przed śmiercią.

Kogo?

Tego parobasa, tego przybłędę, tego, tego... Tego, który jej szanownego dziadka wywiózł w parowy, jak jakąś niepotrzebną rzecz, przedmiot nieużyteczny nikomu.

Bóg wie, co gryzło bardziej księcia: czy to, czy też wogóle choroba nieuleczalna wnuczki. Tyle nie-szczęść, tyle restrykcji nagromadziło się nad jego nie-szczęsną starczą głową.

Gdy dowiedział się o pokornej ostatniej prośbie umierającej, narazie zawrzał swym zwykłym, raptownym gniewem. Poprostu narazie odżegnywał się wszelkiego pokrewieństwa z wnuczką, która w ostatniej chwili swego życia zwraca myśl i uczucie ku tak podrzędnej figurze, tak złośliwemu proletarjuszowi, jak ten oberwaniec z szubienicy.

Wiele logiki, sentymentu i retoryki musiała użyć księżna, aby przekonać teścia, że dla własnego sumienia należy się zgodzić na przedśmiertny kaprys księżniczki.

Zgodził się wreszcie stary despota, ale ta zgoda dużo, dużo go kosztowała.

Księżniczka nigdy się nie dowie, ile ze swej rodowej dumy, ze swych szacownych, twardych i nieugiętych przekonań poświęcił dla niej ten nestor rodu książąt von Teschen-Cieszyńskich.

Ona ginie, niknie w oczach, jej życie jak płomyk ogarka świecy drga jeszcze, lecz za chwilę zagasnąć może na zawsze.

I książę nawet denerwuje się tem, że ten, ten tam się spóźnia.

Książę nie znosi tego, aby służba czytała w jego obliczu to, co serce pragnie ukryć przed hołotą.

Nikt nie widział nigdy łzy w jego zimnem dla tłumu oku.

Lecz już i on traci ten hart ducha wobec grożącego nieszczęścia.

Zawołał kamerdynera i kazał mu się zawieźć pod same drzwi pokoju księżniczki.

— Teraz odejdź sobie — rozkazał szorstko.

Lokaj uklonił się i znikł w drzwiach sąsiedniego pokoju.

Starzec obejrzał się za nim. Był sam.

Ciężko oparł się rękami o poręcze wózka i z całą siłą zrujnowanego ciała przytulił swą pomarszczoną, groźną twarz do drzwi, dzielących go od wnuczki. Słuchał, starając się uciszyć bicie swego starego serca. Słyszał oddech ciężki, nierówny i przyspieszony, jękiem przeplatany...

Krzaczaste wiechy jego brwi zaczęły się poruszać nieopanowanym wzruszeniem i z oczu popłynęły ciężkie, gorzkie, bolące łzy...

Opadł ciężko na poduszki wózka, otarł skwapliwie wilgoć z policzków i wąsów i czekał powrotu kamerdynera, aby go stąd wreszcie zabrał.

Księżniczka, leżąca dotąd bez ruchu z oczami przymkniętymi, z ustami rozchylonemi, chwytając z trudem powietrze w chore swe płuca, usłyszała turkot bryczki woddali. Drgnęła i szeroko otworzyła oczy.

Jej usta wykrzywiły się niby uśmiechem, ścisnęła mocniej, swą rozpaloną ręką, dłoń matki, która przy niej siedziała i wyszeptwała:

— To on...

XVIII.

Droga, którą miał Marek przeniknąć do dziewiczego pokoju księżniczki, była wolna od ciekawych oczu. Służbę całą odpowiednio zajęto po różnych pokojach tak, aby ten skandaliczny schocking, jaki miał się stać na żądanie umierającej, nie był przez niepowołanych komentowany i roznoszony w tysiącnych wersjach po okolicy.

Z dziwnem, nieokreślonem uczuciem Marek przestąpił próg pałacu.

Niby te same komnaty, w których spędził swe smutne dzieciństwo, a przecież wydały mu się jakieś inne i bardziej obce.

Zdawało mu się, że to jakiś zaklęty zamek, w którym kona zaklęta przez jakieś złośliwe czary księżniczka.

Na wstępie spotkał księżnę. Ukłonił się jej niezgrabnie, ona mu skinęła głową, nie patrząc mu w oczy i dała znak, aby szedł za nią.

Marek stąpał za nią cicho, jak we śnie.

Nagle otworzyły się jedne drzwi, drugie i stanął w pokoiku oświetlonym niebieską amplą.

Ujrzał ostrzyżoną do skóry główkę dziewczęcia, leżącą bezwładnie na poduszkach. Otworzyła swe wielkie, niebieskie oczy o sinych obwódkach, wpadłe głęboko w oczodoły.

Niby coś nakszałt uśmiechu zaigrało na jej rozchylonych, spieczonych gorączką wargach.

Więc to ta sama Hala, ta sama księżniczka, o której Marek pragnął gorąco zapomnieć, a której mimo to obraz do dziś jak żywy nosi w swej duszy.

Gdzie te złote kędziory? Gdzie podziały się zachwycające rumieńce? Gdzie to spojrzenie żywe, a pełne niewysłowionej słodyczy?

Postać, którą ujrzał na łożu boleści, była uosobieniem cierpienia i rezygnacji. Nie widział, czy w pokoju spowitym w błękitnawy półmrok są jacy świadkowie ich ostatniego widzenia i pożegnania, lecz kolana same ugięły się przed tym bolesnym widokiem i runął bezsilny głową na kołdrę zwieszającą się z łóżka chorej.

Czuł, że jakiś bezsilny protest rozrywa mu skołatane piersi, czuł samobójczy ból serca, czuł palące, natarczywe łzy pod powiekami, które nie mogły się uzewnętrznić.

Nareszcie uczuł dotknięcie lekkie, leciutkie na

włosach swoich, delikatne jak wiew serdecznej myśli. Drobna, chuda rączyna spoczęła na jego zbolalej czaszce. Zdało mu się, że to jakieś napoły już za-ziemskie błogosławieństwo spływa w całą jego istotę i schwycił obu swemi rękoma tę przenajdroższą dłoń, białą jak opłatek, gorącą i delikatną i złożył na niej swe usta bez ruchu, bez szelestu... Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Cały pokój zaczął wirować z nim dokoła. Błękitny półmrok zdał mu się jakąś groźną, nieczułą, bezlitosną wszechprzestrzenią, która za chwilę może mu porwać w swe bezkresne otchłanie tę jedyną drogą mu nadewszystko istotę. Bał się, że ryknie za chwilę nieswoim obcym rozpaczonym głosem, że oszaleje w tym strasznym momencie.

Ostatecznym wysiłkiem woli zagryzł do krwi drgające bólem wargi, odepchnął się rękoma od łóżka i wstał, zatoczywszy się jak pijany.

Hala teraz ciężko oddychała po tem wzruszeniu, a z jej zamkniętych oczu jedna za drugą, jak perły, płynęły wielkie pożegnalne uroczyste łzy.

Marek w jednej chwili wybiegł jak szalony, odtrącił kogoś, którego spotkał we drzwiach; może to była nieszczęsna księżna, czekająca końca tej smutnej sceny.

Bez paltota pobiegł do domu, gdzie oczekiwali go rodzice z niecierpliwością, niepewni, jak się skończy ta cała historia i jaka przyszłość wyniknie dla jednaka, skutkiem tych niezwykłych wydarzeń w pałacu.

Matka posadziła go przy kominie w kuchni, gdyż biegł tylko w mundurku gimnazjalnym przez mroźne aleje parku.

— Gdzieś paltot zostawił? — zapytał go ojciec.

Gdy nie usłyszał żadnej na swe pytanie odpowiedzi, poszedł po czapkę i okrycie jego do pałacu.

Ciekawa matka nic też od niego wydobyć nie mogła.

Gdy ojciec wrócił z pałacu z zostawionemi tam przez syna rzeczami, przystąpił zaraz do najważniejszej rzeczy, t. j. do najbliższej przyszłości Marka.

Marek, przychodzący powoli do zmysłów, dowiedział się, że tym razem ostatni raz noga jego przestała próg domu rodzicielskiego. Po tem wszystkiem, co zaszło ostatnio, po zrezygnowaniu starego księcia z postanowień, które uważał za tak święte i nietykalne, nie chce on nigdy spotkać się z nieszczęsnym Markiem, a nawet jego imieniem. Uważa on tego chłopca za złego ducha księżniczki i całego domu książęcego. Podobno przeklął go nawet bardzo uroczyście na wieki wieków wobec rodziców Hali.

Tak, więc Marek musi znów porzucić te strony, lecz tym razem już na zawsze, boć trudno przypuścić, aby stać się znów miało coś takiego, co spowodowałoby mogło starego księcia do zmiany raz jeszcze swego postanowienia.

W głowie Marka mieszały się myśli tak, że niewiele rozumiał z tego, co do niego mówiono, czuł jednak doskonale, że dziś już opuściwszy raz te strony, nie wróci tu nigdy, nigdy...

Niedługo pęknie ta jedna jedyna nić wiążąca go z tym dumnym pałacem i myśl jego będzie szukać innych dróg, wśród bezkresów zaświata, tęskniąc za zgasłym promykiem szczęścia, niż te, które prowadzą do rezydencji książąt Cieszyńskich.

Raz jeszcze spojrzął na migające błękitne światelko wśród nagich konarów drzew parkowych, pałace się w oknie księżniczki i gdy to znikło z widoku, jak błędny ognik, schował twarz w kołnierz przed zimnem i popadł w zadumę, jadąc bryczką do kolei.

Był już w połowie drogi, gdy uprzytomnił sobie nagle, że oto odjeżdża stąd w świat, gdy ta jedyna mu naprawdę oddana istota gaśnie może w tej chwili i on jej nie zobaczy nigdy, nigdy... Nie usłyszy jej tak

niegdyś słodkiego głosu, nie dotknie jej złocistych kędziorów, nie spłynie już nigdy nieme błogosławieństwo tej dobroczynnej ręki na jego biedną głowę... Ach, raz jeszcze ujrzeć jej twarz kochaną, raz złożyć usta na drogiej dłoni, raz tylko jeszcze, raz jeden... Zato oddałby chętnie resztę swych dni, oddałby wszystko, czem mógłby tylko kiedykolwiek rozporządzać. Poszedłby na męki i cierpienia bez granic, na upodlenie, na pogardę ludzi, w niewolę sprzedałby swe ciało i duszę...

Każda chwila oddala go od spełnienia się tego pragnienia.

Konie rącho biegną po równej szosie i zdala wśród bieli zaśnieżonych pól błyskają różnobarwne światelka stacyjne.

Wysiadł wreszcie z bryczki i wszedł do poczekalni. Widział przez okno, jak bryczka, która go tu przywiozła, objechała kłęb przed dworcem i znikła w cieniach nocy.

Niewiele zastanawiając się, co robi, zeszedł z trzech schodów stacji i szybkim krokiem powędrował tą drogą, którą dopiero co tu przyjechał.

Z każdą chwilą przyśpieszał kroku.

Wypędzony bezlitośnie z pałacu, cichaczem, jak złodziej, wkradnie się do ciemnego parku, wdrapie się na mur pod oknem umierającej i raz jeszcze napoi swą utęsknioną duszę bolesnym widokiem.

Gdy znalazł się wreszcie w ciemnym, ponurym parku, ujrzał pod oknem Hali kręcących się ludzi i nie miał sposobności podejść nawet bliżej do pałacu.

Gdy tak czyhał na sposobną chwilę, za pnem grubej lipy, uczuł ciepły oddech na swej opuszczonej dłoni. Drgnął, niemile dotknięty niewytłomaczonym uczuciem zabobonnego strachu.

Klamka łąsił się do swego przyjaciela, liżąc mu zmarzniete ręce.

Marek ukląkł przy starem psisku i przytulił serdecznie jego pocziwą mordę do zboląlej piersi.

Klamka, jakby instynktem, usłyszał ten akord rozpaczliwej boleści, dźwięczący w duszy swego pana, dobył ze swej krtani najboleściwszy ton, na jaki się tylko umiało zdobyć jego psie serce i zawył cicho, lecz przenikliwie.

Marek bojąc się, aby go tu w parku nie odkryto, szybko oddalił się stąd i skrył się w domu rodziców.

Była tu tylko matka.

— W imię Ojca i Syna... ty skąd się tu wzięłaś?

Wszak przed dwoma godzinami tak czule go żegnała, błogosławiąc na nową drogę życia.

Wytlomaczył jej, że pragnie tu pozostać czas jakiś, że nikt o jego tu pobycie się nie dowie, a potem sam cichaczem stąd się oddali, tak jak i teraz się tu zjawił.

Matka była zaniepokojona tem niezrozumiałem jego postanowieniem, ale nie miała sposobu oponować.

Wkrótce i ojciec się zjawił.

Nadspodziewanie nie rozgniewał się na nierozważny krok syna, pocałował go nawet w głowę, jakby rozumiejąc jego obecny stan duchowy i pierwszy raz zaczął go jakoś inaczej, niż zwykle, traktować. Współczuł widać mu w jego pierwszym męskim nie-szczęściu.

— Matka — zaproponował żonie — zagrzej no nam krupniku.

Fiukalska zakrzętnęła się koło komina i wnet w kuchni rozszedł się zapach miodu, wódki, cynamonu i korzeni.

Ojciec sam przyniósł przeziębniętemu Markowi dużą filiżankę grzanki i rzekł:

— Pij, Marku, rozgrzejesz się trochę. Na frasu-nek dobry trunek.

Chłopak z ochotą popijał ognisty napój.

Przy drugiej filiżance uczuł błogie ciepło rochochodzące się po przeziębłych członkach i uczuł niewymowną wdzięczność do tego ojca, z którym dotąd tak mało go wiązało.

Ojciec starał się rozerwać ponure myśli syna rozmową. Opowiadał mu o tem i o owem. Najwidoczniej trunek rozwiązał mu język.

Marek milczał i słuchał zadowolony, że mowa ojca przerywa tok jego smutnych myśli i daje odpoczynek zmęczonemu bezustanną monotonną troską mózgowi.

Słyszał piąte przez dziesiąte z tego, co tam ojciec, popijając gęsto krupnik, mówił.

Dowiedział się między innemi, że w sąsiedztwie zagospodarował się jakiś nowy obywatel, jakiś podróżnik, który tu z Indji aż przyjechał. Mówią o nim, że jest niesamowity, że z duchami jest za pan brat. Że przywiózł z sobą jakiegoś służącego, co po polsku nie gada, a na twarzy jest brązowy, jak rondel. Podobno ten sąsiad należy do jakiejs sekty „braci wtajemniczonych” i nie bywa wcale w kościele. Ten pan był tu nawet niedawno z pierwszą wizytą w pałacu, ale stary książę zabronił księstwu przyjąć go w salonie i poprostu przez kamerdynera grzecznie go wyprosił.

Niewiele Marka obchodziły te nowiny, a zwłaszcza ów tajemniczy sąsiad, gdy miał wkrótce na zawsze opuścić te strony.

Uczuł wreszcie, że pod wpływem forsownej podróży, oraz przejść niezwykłych, a także wypitego trunku głowa zaczyna mu niepomiernie ciążyć, a powieki same się przymykają.

Troskliwa matka ułożyła go w osobnym pokoju, aby go nikt nie widział i Marek zasnął ciężkim, kamiennym snem.

W pewnym czasie nocy usłyszał jakby głośne, rozpaczliwe zawodzenie i zdało mu się, iż widzi, otwarłszy ze snu oczy, stojącą w nogach jego pościeli księżniczkę, która wyciągnawszy swe ręce ku niemu, szeptała cicho, bezgłośnie niezrozumiałe słowa:

„Bona finto girro“.

Gdy usiadł na łóżku, widzenie znikło; uczuł tylko nieznośny, rozpaczliwy ciężar na sercu i usłyszał zoddali, gdzieś w stronie pałacu, wycie beznadziejne Klamki. Przypomniawszy sobie teraz, że te niezrozumiałe wyrazy, które usłyszał przed chwilą, znaczą w tajemnej mowie opiekuna Florka:

„Trzeba już odejść“.

Nieubłagane przeczucie szarpnęło bezlitośnie całą jego istotą i, rzuciwszy się twarzą w poduszkę, załkał, jak małe bezdomne dziecko.

XIX.

Odbył się okazały, wspaniały pogrzeb księżniczki.

Marek, którego dla pewności zamknięto na klucz w pustym domu Fiukalskich, słyszał zoddali dochodzące tu śpiewy, zawodzenia wiejskiego dzwonu i ruch ekwipaży.

Po pogrzebie matka opowiedziała mu z detalami cały przebieg smutnego obrządku, wyliczała wieńce i wiązanki, wymieniała krewnych i sąsiadów, którzy brali udział w ostatniej posłudze.

Nie zapomniała nadmienić, że prawdziwą sensację w orszaku uczynił powóz nowego sąsiada, pana Girona, który przybył ze swym indusem na koźle, nie

dbając na niegościnne przyjęcie, którego doznał w pałacu.

Po śmierci Hali, Marek jakby skamieniał w swej boleści. Nie rozpaczał, nie rwał włosów, nie łamał rąk. W jego całej postaci malowała się jakaś tępa, głucha boleść.

Wieczorem po pogrzebie zawiadomił rodziców, że czas mu już odejść.

Prosił, aby go nie odprowadzano. Sam pójdzie w świat i gdy się gdzieś ustali, napisze.

Podziękował za gotówkę, którą mu na drogę wręczono, uściskał rodziców i poszedł.

Wyszedł do ich małego ogródka i ścieżką, zawaloną śniegiem, doszedł do płotu, przeszedł przez niego i schodził wolno po górze. Ujrzał wreszcie jakby śnieżny kopiec, ukląkł przed nim, poznał zasypany krzak dzikiej róży, który kiedyś był świadkiem jego ślubów na śmierć i życie z księżniczką.

Ukląkł i zaczął patykiem i rękami kopać w pewnem miejscu jamę. Natrafił na blaszane pudełeczko, pochwycił je skwapliwie i schował do kieszeni.

Teraz manowcami brodził po śniegu, kierując się w stronę wioskowego kościoła.

Mimo ciemności, panującej dokoła, natrafił na niską bramę cmentarza; przelazł przez zamknięte wrota i wkroczył w dziedziny umarłych.

Poznał zdaleka najwyższą i najokazalszą sylwetkę rodzinnego grobowca książęcego i tam skierował swe kroki.

Zboku ujrzał stos kwiatów i wieńców z szarfami. Ukląkł tu i, ukrywszy twarz w dłoniach, zadumał się nad znikomością spraw tego świata.

Przyszedł tu, gdzie spoczywały szczątki jego duchowej małżonki, potwierdzić jeszcze raz te przy-

sięgi, jakie składał pod krzakiem dzikiej róży, jako lekkomyślny dzieciak.

— Oddam ci, Hału, każdą myśl moją, aż do ostatniego tchnienia. Tęsknota za tobą będzie mi towarzyszyć w mej ciernistej drodze zawsze i wszędzie. Kocham cię i kochać cię nigdy nie przestanę. Czy słyszysz mnie, księżniczko?

Czy też go słyszy?

Ucałowawszy ziemię, wstał i jeszcze raz ostatni spojrzał na świeżą mogiłę.

Wtem zdało mu się, że widzi pod stosem kwiatów jakąś norę.

Przykucnął i zajrzał do środka okrągłej dziury. W głębi błysły mu jakieś zielonawe oczy.

Przywidzenie, czy co?!

Zajrzał dokładniej, uczył ciepły wiew i wyraźnie ujrzał, jakby wilcze oczy w ciemności.

Stamtąd wtedy przejęło go aż do szpiku kości boleściwe, okropne wycie psa.

Włosy dębem mu stanęły na głowie, zabobonny strach lodowatą bryłą zwałił się na niego, odbierając mu przytomność. Zerwał się i począł biec, potykając się po drodze o mogiły i krzyże.

Przesadził mur cmentarny i leciał dalej z góry po śniegu, a za nim niesamowicie rozbrzmiewało żałosne zawroscenie Klamki. Nogi jego zatapiały się głębiej w śniegu, łupały podszwami cienką powłokę lodu; zapadał raz wraz po pachy w śnieg i zamarzłą bajurę, plątał się w zwiędłych łodygach tataraków i trzcina...

Uszy zatykał sobie, aby nie słyszeć natarczywych dźwięków żalosnego skowytu. Czasami tchu mu brakowało, nogi odmawiały posłuszeństwa, padał w zimny puch śniegu twarzą i znów, podpierając się rękami, na czworakach pełznął, aby dalej, aby dalej...

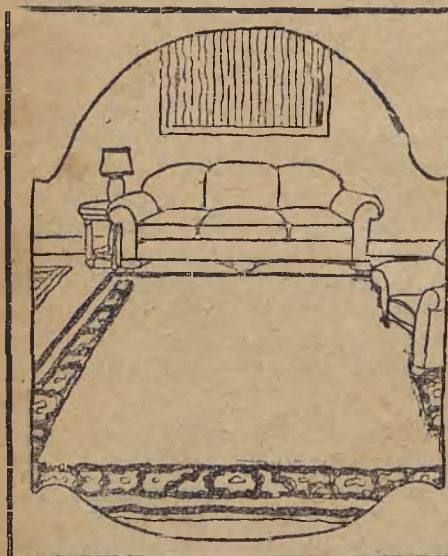
Uczuł wreszcie lodowe zimno, obejmujące jego skronie, lecz ten chłód powoli spływał do serca, a stamtąd do nóg i rąk.

Nie wiedział już, czy idzie, czy stoi, lub leży w miejscu.

Usłyszał szum gwałtowny i ponury, potem dźwięk miliona małych dzwoneczków; jakieś ujrzał fontanny iskier fantastycznych, blasków nieziemskiej natury, jakby nieznana dotąd rozkosz owładnęła całym jego jestestwem... Wkraczał w nieznana mu krainę promienną i jasną...

Ktoś go wiodł za rękę, ktoś z sennych jego marzeń w żółtej, jedwabistej szacie...

KONIEC.



Warszawa,

Bracka 4

Wykwintne

Meble

Stylowe

CENY PRZYSTĘPNE.



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 I 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie (9 tomów)	4 zł. 70 gr.
Półrocznie (18 „)	9 „ 40 „
Rocznie (36 „)	18 „ 50 „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedynczego 80 gr.

ROK	I
TOM	XLIII